



Podnieś rękę Boże Dziecię...

Zbliżamy się do Betlejem, co w języku hebrajskim oznacza „dom chleba”. Miasteczko leży 8 km na południe od Jerozolimy, a nazwa pochodzi prawdopodobnie od urodzajności tamtejszych okolic, obfitujących w bogate pastwiska i żyzne ziemie, na których uprawia się pszenicę i jęczmień. Betlejem zwane jest również Miastem Dawidowym, ponieważ w nim urodził się i otrzymał królewskie namaszczenie jeden z najwybitniejszych przywódców Izraela, autor Psalmów – Dawid (1 Sm 16, 4-13).

Jak mówi Pismo Święte, W owym czasie wyszło rozporządzenie Cezara Augusta, żeby przeprowadzić spis ludności w całym państwie. Pierwszy ten spis odbył się wówczas, gdy wielkorządcą Syrii był Kwiryniusz. Wybierali się więc wszyscy, aby się dać zapisać, każdy do swego miasta. Udał się także Józef z Galilei, z miasta Nazaret, do Judei, do miasta Dawidowego, zwanego Betlejem, ponieważ pochodził z domu i rodu Dawida, żeby się dać zapisać z poślubioną sobie Maryją, która była brzemienna. Kiedy tam przebywali, nadszedł dla Maryi czas rozwiązania. Porodziła swego pierwotnego Syna, owinęła Go w pieluszki i położyła w żłobie, gdyż nie było dla nich miejsca w gospodzie (Łk 2, 1-7).

Narodzenie Jezusa miało miejsce w ściśle określonym czasie historycznym, za panowania Cezara Augusta, w czasie spisu ludności. Spisy te odbywały się w Cesarstwie Rzymskim co czternaście lat. Każdy właściciel ziemski był zobowiązany stawić się w miejscu posiadłości rodowej. Józef udał się więc do Betlejem, gniazda rodowego króla Dawida. Droga z Nazaretu do Betlejem wynosiła ok. 150 km. Ówczesne karawany przemierzały ją w trzy do pięciu dni. Nie była to więc droga długa. Jednak dla Maryi, która była brzemienna, była drogą uciążliwą i niebezpieczną. Chociaż podjęta z rozkazu Cezara, miała być realizowaniem Bożych planów. Wymagała całkowitego zaufania i powierzenia Bogu.

Zmierzchało, kiedy zobaczyli pierwsze zabudowania Betlejem. Wypadał akurat dzień drugiego płomienia święta Chanuki, wspomnienie męskiej Judyty. Józef podziękował Panu za opiekę, bo dotarli do Betlejem. A był z poślubioną sobie Maryją, która była brzemienna.

Mężczyzna zapukał do drzwi pierwszego z domów: – Wpuście nas, dobrzy ludzie – prosił – moja żona jest brzemienna i nadchodzi jej czas.

Daremnie. Drzwi pozostały zamknięte, choć w oknach migotały światła.

– Józefie – westchnęła utrudzona Maria – idźmy dalej.

Ale nie znaleźli miejsca w żadnej gospodzie. Powodem było prawdopodobnie ubóstwo. Przyszedł wieczór i choć karawana z którą niewątpliwie przebyli drogę, była z pewnością liczna, to właśnie wtedy najbardziej dotkliwie dała o sobie znać samotność, opuszczenie w potrzebie.

Józef i Maryja wiedzieli, że zbliża się godzina, w której Syn Boży przyjdzie na ziemię. Może nie mieli pełnej świadomości, że ten fakt wstrząśnie światem, choć zapewne Przenajświętsza Panienka była przepełniona troską o godne przyjęcie Dziecięcia.

Zmrok, pustoszące uliczki i ciche odgłosy gasnącego dnia nie wskazywały, że z daleka, od miesiąca a może nawet dwóch, z dalekiej Persji, z miasta Kaszan jadą magowie, Mędrcy ze Wschodu, wobec których Nowo Narodzony Król Żydowski Objawi się światu. Że po drodze odwiedzą króla Heroda i powiedzą mu, że idą z darami aby pokłonić się

nowemu Królowi, czym wzbudzą jego zbrodnicze zamiary.

Jak pisze św. Mateusz Ewangelista: Gdy Jezus narodził się w Betlejem w Judei za panowania króla Heroda, oto mędrcy ze Wschodu przybyli do Jerozolimy i pytali: «Gdzie jest nowo narodzony Król żydowski? Ujrzelśmy bowiem Jego gwiazdę na Wschodzie i przybyliśmy oddać Mu pokłon».

Skoro to usłyszał król Herod, przeraził się, a z nim cała Jerozolima. Zebrał więc wszystkich arcykapłanów i uczonych ludu i wypytował ich, gdzie ma się narodzić Mesjasz.

Ci mu odpowiedzieli: «W Betlejem judzkim, bo tak zostało napisane przez Proroka: A ty, Betlejem, ziemio Judy, nie jesteś zgola najlichsze spośród głównych miast Judy, albowiem z ciebie wyjdzie władca, który będzie pasterzem ludu mego, Izraela».

Wtedy Herod przywołał potajemnie mędrców i wywiedził się od nich dokładnie o czas ukazania się gwiazdy. A kierując ich do Bet-

lejem, rzekł: «Udajcie się tam i wypytujcie starannie o Dziecię, a gdy Je znajdziecie, donieście mi, abym i ja mógł pójść i oddać Mu pokłon». Oni zaś, wysłuchawszy króla, ruszyli w drogę.

A oto gwiazda, którą widzieli na Wschodzie, postępowała przed nimi, aż przyszła i zatrzymała się nad miejscem, gdzie było Dziecię. Gdy ujrzeli gwiazdę, bardzo się uradowali. Weszli do domu i zobaczyli Dziecię z Matką Jego, Maryją; padli na twarz i oddali Mu pokłon. I otworzywszy swe skarby, ofiarowali Mu dary: złoto, kadzidło i mirrę.

A otrzymawszy we śnie nakaz, żeby nie wracali do Heroda, inną drogą udali się z powrotem do swojego kraju. Mt 2, 1-12

A więc, oprócz samotności i ubóstwa, czai się w pobliżu Świętej Rodziny zło. Od chwili narodzenia, aż po męczeńską śmierć Jezusa.

Jak powiedział Symeon do Maryi: «Oto Ten przeznaczony jest na upadek i na powstanie wielu w Izraelu, i na znak, któremu sprzeciwiać się będą. A Twoją duszę miecz przeniknie, aby na jaw wyszły zamysły serc wielu».

Jaskrawe skutki sprzeciwu widzimy dzisiaj. Przyszły takie czasy, owszem, wciąż dotąd były, że zdać musimy sprawę ze swojego własnego Betlejem. Czy nasze drzwi pozostają zamknięte dla Chrystusa? Małeńki Król Zbawienia woła o pomoc, o obronę swojego Kościoła. Dwa tysiące lat temu pomogli Mu pasterze i nie pytali, skąd przychodzi Ten, któremu pokłon oddali Królowie tego świata. A dzisiaj bywa, że zawodzą Pasterze i stajnia nie jest gotowa, aby Go przyjąć. Gdzie w tym wszystkim jesteśmy my, ochrzczeni w Jego imię? Czy poświęcimy małeńką – jak Narodzony Chrystus – część naszego życia, żeby uratować świat? Czy podniesiemy choćby nieśmiało rękę w Jego obronie, kiedy inni nie podniosą? Wszystko możemy odkupić prawie, że niczym. Zrobmy to!

Niech więc w Święta Narodzenia Zbawiciela obudzi nas płacz Dzieciątka! I niech pęknie nam serce jeśli nie wstaniemy od stołu, żeby pochylić się nad Jego kołyską. Otrzymamy Jego łzy i ogrzejemy to małeńkie Przenajświętsze Ciało, które pragnie naszego ciepła, aby za skrawek kąta w naszych sercach znów oddać nam cały świat.

Tego życzymy Drogim Czytelnikom katolickiego miesięcznika „Aspekt Polski”. Niech Zbawienie stanie się naszym udziałem, byśmy w Nowym Roku 2020 śmiało patrzyli w lustro, że broniliśmy żłóbka pośród bydła, że wytrwaliśmy w biedzie i ubóstwie, choćby inni nie wytrwali, że żaden z nas nie przystąpił do cechu Heroda i Judasza.



Ku czci Jasnogórskiej Matki Życia

Od niedzieli 8 grudnia archidiecezja warszawska będzie miała nowe sanktuarium maryjne. Kard. Kazimierz Nycz na prośbę generała Zakonu Paulinów ustanowił diecezjalne Sanktuarium Jasnogórskiej Matki Życia w kościele rektorskim Świętego Ducha w Warszawie. To właśnie przy tej świątyni w 1987 r. powstało Dzieło Duchowej Adopcji Dziecka Poczętego.

W niedzielę 8 grudnia o godz. 18.00 metropolita warszawski przewodniczył uroczystej Mszy św. w najmłodszym stołecznym sanktuarium. Będzie ono miejscem kultu Najświętszej Maryi Panny czczonej w Jasnogórskiej Ikonicie. Oprócz rozwijania duchowości i pobożności maryjnej nowe sanktuarium będzie propagowało Dzieło Duchowej Adopcji oraz będzie miejscem ekspiacji za grzechy przeciwko życiu. Paulini, których każdorazowo przeor będzie kustoszem sanktuarium, będą też służyli penitentom w sakramencie pokuty oraz kierownictwem duchowym.

W dekrete ustanawiającym sanktuarium Jasnogórskiej Matki Życia metropolita war-

szawski udzielił pasterskiego błogosławieństwa wszystkim wiernym, którzy zapatrzeni w przykład Maryi, Matki Życia podejmują modlitwę i apostolskie inicjatywy mające na celu obronę życia poczętego. Przeor warszawskiego konwentu paulinów o. Marek Tomczyk podkreśla, że myśl ustanowienia sanktuarium Jasnogórskiej Matki Życia to inicjatywa oddolna wiernych modlących się w tym miejscu w obronie życia.

Świątynia oo. paulinów na Nowym Mieście uzyskując rangę sanktuarium będzie miejscem codziennej adoracji Najświętszego Sakramentu oraz celebracji codziennych liturgii, czuwań modlitewnych i nabożeństw ku czci



Najświętszej Maryi Panny. Przed obchodami uroczystości i świąt maryjnych w sanktuarium sprawowane będą Msze święte i nabożeństwa ekspiacyjne za grzechy przeciwko życiu dzieci

poczętych a nienarodzonych. Natomiast codziennie, na zakończenie Mszy świętych odprawiany będzie Apel Jasnogórski.

BP KEP

Nasze kapliczki

W Sokolnikach

Odpowiadamy (to pomysł i woła mojej małżonki) na apel „Aspektu Polskiego” o zgłaszanie napotkanych kapliczek. Trudno w tym przypadku mówić o napotkaniu kapliczki, o której piszę, bowiem stoi ona po prostu na naszej własnej działce leśnej w Sokolnikach Lesie k/Łodzi. Matka Boża z pewnością otacza nasz dom nieustającą opieką, o czym mogliśmy się przekonać któregoś lata, gdy w czasie huraganu złamała się stojąca obok domu potężna brzoza mijając go zaledwie metr-dwa.

To obiekt wzorowany na ciągu kapliczek nadpiliczańskich, a wyrzeźbiony został w 2010 roku przez religijnego artystę rzeźbiarza, nagrodzonego w tym roku za dorobek artystyczny przez prezydenta Andrzeja Dudę.

Myślę, że ważną informacją jest również fakt, że nasza kapliczka została uroczystie poświęcona przez ks. Przemysława Szewczyka, tak więc można się przy niej modlić. *Christus Vincit*

JERZY NAGÓRSKI



Przysyłajcie nam zdjęcia i krótkie opisy kapliczek, przydrożnych krzyży i świątków. Będziemy je publikować, żeby uwiecznić ich obecność wśród nas: e-mail: redakcja@aspektpolski.pl lub adres: 90-955 Łódź 8, skr. poczt. 22.

REDAKCJA

KONKURS

Podziel się swoją historią

1 września br. obchodziliśmy 80. rocznicę wybuchu II wojny światowej, która zmieniła historię Polski. Nie ma w Polsce rodziny, której ta wojna nie dotknęła. Nasi krewni, ich sąsiedzi i przyjaciele byli ofiarami obu okupantów.

Napisano na ten temat wiele książek, nakręcono filmów. Ale każda polska rodzina ma swoją, często niezwykle dramatyczną historię, która nie powinna ulec zapomnieniu. Prosimy więc naszych Czytelników, by podzielili się swoimi rodzinnymi historiami.

Teksty, które otrzymaliśmy potwierdziły, że było warto. Dostaliśmy niezwykle opowieści, pełne ludzkich dramatów, ale i przepojone miłością. Niektóre mają formę literacką, inne pełne są faktów, dokumentów. Dostaliśmy prace z różnych stron Polski, a także zza granicy. Lektura była niezwykle trudna, bo Wasze opowiadania są wstrząsające i poruszające. Trudno nam dziś wyobrazić sobie życie opisane przez naszych laureatów.

Nagrodziliśmy dziewięciu autorów: troj-

gu przyznaliśmy równorzędne nagrody, pozostałym sześciu wyróżnienia. Nie chcemy ustawiać rankingu, bo każda z tych opowieści jest inna i każda jest ważna. Wszystkie będziemy sukcesywnie publikować.

Laureaci nagród:

- **Antonina Sebesta** z Myślenic za opowieść pt. *Szkice do portretu wojennego rodziny ze Stanisławowa*
- **Patrycja Cicha** z Kobyłki za opowiadanie pt. *W Teklinie*
- **Joanna Józefowicz** z Białegostoku – za opowiadanie *Uratowała mnie modlitwa*.

Wyróżnienia

Danuta Urbańska, Janina Szymczyk ze Starej Wsi, Halina Justyna z Gajkowic, January Witkowski, Cezary Rembowski z Łodzi, Alicja Rupińska z Gdyni.

Gratulujemy i dziękujemy! Autorom wyróżnionych prac wyślemy nagrody książkowe.

REDAKCJA

Modlitwa za Papieża Franciszka

Wszechmogący, miłosierny Boże, otaczaj swoją łaską Ojca Świętego Franciszka, którego ustanowiłeś głową Kościoła Świętego. Daj mu światło Ducha Świętego, aby zawsze prowadził Twoją owczarnię drogami, które Tobie się podobają, a świętą łódź Kościoła kierował zawsze tam, gdzie Ty wskażesz. Daj mu dobre zdrowie i wytrwałość, aby w Imię Twoje rozciągał opiekę nad całym ludem Bożym prowadząc go ku jedności Kościoła Chrystusowego.

Matko Kościoła, Królowo Pokoju, prosimy Cię, uprosz te łaski u Syna Twego, a Pana naszego Jezusa Chrystusa, Który żyje i króluje, przez wszystkie wieki wieków. Amen.

Modlimy się wspólnie o cud i rychłą beatyfikację

Czcigodnej Sługi Bożej,

Wandy Malczewskiej

w Parafii

Najświętszego Serca Pana Jezusa

w Parznie

w niedzielę 5 stycznia 2020 r.,

o godz. 16:00.



Aspekt Polski

miesięcznik Katolickiego Klubu im. Św. Wojciecha w Łodzi

adres do korespondencji: 90-955 Łódź 8, ul. Piotrkowska 17, skr. 22

Konto bankowe: BGŻ BNP Paribas Oddział w Łodzi 12 2030 0045 1110 0000 0314 4920

Asystent Kościelny: ks. Mateusz Cieplucha

Redaktor naczelny: Mirosław Orzechowski

zastępca: Iwona Klimczak

red. odpowiedzialny: Jan Waliszewski; wydanie: Aleksy Wyszowski redakcja: Karol Badziak, prof. Jacek Bartyzel, ks. infułat Józef Fijałkowski, prof. Tadeusz Gerstenkorn, Jarosław Jagiełło, Janusz Janyst, Agnieszka Jarocka, Paweł Jaszczak, Marcin Keller, Jacek Kędziński, Bogdan Kulas, prof. Mirosław Matyja, Jerzy Nagórski, prof. Bogusław Sułkowski, Jan Szałowski, Teresa Szemerluk, Władysław Trzaska-Korowajczyk, Izabela M. Trelińska.

Druk: Polska Press Sp. z o.o., Oddział Poligrafia, Drukarnia w Łodzi

Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian redakcyjnych i skrótów tekstów niezamówionych

e-mail: redakcja@aspektpolski.pl

strona internetowa: www.aspektpolski.pl



Narodowy Instytut Wolności
Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego

Projekt dofinansowany
ze środków Programu Fundusz
Inicjatyw Obywatelskich na lata
2014-2020



Program
Fundusz Inicjatyw
Obywatelskich
na lata 2014-2020
FIO

Czy żywność nam szkodzi?

Każdego dnia słyszymy, że coś nam szkodzi – a to smog, palenie w piecu węglowym i śmieci, a to jedzenie mięsa. Tak nam wmówiono konieczność walki z „globalnym ociepleniem”, że budząc się rano mamy wyrzuty sumienia, że nie dość dbamy o naszą planetę. Poddajemy się wszechpotężnej sile medialnego nacisku wspieranego przez autorytety – od polityków po celebrytów. To oni nam mówią, co jest dla nas ważne. Są jednak obszary, o które nikt się nie troszczy, np. co producent wrzucił do produktów żywnościowych i kosmetyków? Na co dzień nie myślimy o tym, ufając, że o jakość towarów oferowanych na polskim rynku dbają państwowe instytucje.

W tym kontekście, na uwagę zasługuje raport Naczelnej Izby Kontroli dotyczący „nadzoru nad stosowaniem dodatków do żywności”. Z raportu pokontrolnego opublikowanego 15 lutego 2019 r. wynika, że jesteśmy pozostawieni sami sobie, bo instytucje powołane do dbania o bezpieczeństwo i zdrowie publiczne, nie wywiązują się ze swoich zadań. Raport stwierdza, że przeciętny konsument w Polsce spożywa w ciągu roku ponad 2 kg dodatków do żywności oznaczonych różnego rodzaju „E”. W jednym dniu może skosztować nawet 85 różnych „E”. Nikt nas nie ostrzega, że jemy mnóstwo szkodliwych substancji. Mamy tylko ogólną orientację, że w jedzeniu znajdują się jakieś „polepszacze” niezbędne dla utrzymania walorów spożywczych pożywienia: jakieś substancje do regulowania kwasowości produktów, przeciwutleniacze, wzmacniacze smaku, emulgatory, stabilizatory, konserwanty, barwniki; ale nie wiemy, że jest ich tak dużo w jednym produkcie i że mogą szkodzić.

Wyniki badań NIK okazały się druzgocące dla rządzących. Raport NIK stwierdził, że brakuje właściwego nadzoru nad stosowaniem dodatków do żywności. Inspekcje służb sanitarnych nie badają każdorazowo wszystkich dodatków znajdujących się w produktach. Nie weryfikują dokładnie, czy to co jest napisane na opakowaniu zgadza się z tym, co jest w środku. Najbardziej bulwersujące jest to, że inspektorzy sprawdzają jedynie limity danego „E” w produkcie nie biorąc pod uwagę ich kumulacji w codziennej diecie i jak ta kumulacja może wpływać na zdrowie. Nie badają też, czy dodatki te nie wchodzi w interakcje z innymi składnikami diety i lekami. NIK negatywnie oceniła bierną postawę Głównego Inspektora Sanitarnego, który nie inicjował, nie organizował i nie prowadził działań informacyjnych przedstawiających Polakom potencjalne zagrożenia. Również nieaktywne było Ministerstwo Zdrowia i służby sanitarno-epidemiologiczne mimo, że dostępnych jest coraz więcej dowodów i publikacji, które wskazują na szkodliwość wielu dodatków do żywności.

Ok. 70 proc. diety przeciętnego konsumenta stanowi żywność przetworzona w warunkach przemysłowych, zawierająca substancje dodatkowe, które dodaje się, aby zapobiec niekorzystnym zmianom smaku, barwy, zapachu, wydłużyć okres trwałości, zwiększyć atrakcyjność wyrobu oraz zwiększyć efektywność procesu produkcyjnego. W Unii Europejskiej dopuszczonych jest do stosowania w żywności ponad różnych 330 dodatków. W Polsce codzienne limity spożycia określono dla 200 składników, ale nasze laboratoria mogą wykonywać badania kontrolne tylko w stosunku do 65 substancji dodatkowych. Z tego wynika, że pozostałe 135 substancje mogą bezkarnie być umieszczane w żywności, bo nie ma stanowisk do ich wykrycia. W raporcie stwierdzono, że prawo dotyczące dodatków w żywności jest bardzo liberalne. Tylko wo-

bec niewielkiej ilości produktów istnieje zakaz stosowania dodatków. Dotyczy to żywności nieprzetworzonej, miodu, masła, mleka pasteryzowanego i sterylizowanego oraz naturalnej wody mineralnej, kawy i herbaty liściastej.

Aby dana substancja została dopuszczona do żywności, musi uzyskać ocenę bezpieczeństwa dla zdrowia Europejskiego Urzędu ds. Bezpieczeństwa Żywności (EFSA). NIK zwróciła uwagę na złe prawo, które wymaga zapewnienia bezpieczeństwa każdego z dodatków używanych z osobna, nie zabezpieczając



przed ryzykiem wynikającym z obecności w środkach spożywczych wielu dodatków naraz. W raporcie NIK wyraziła nadzieję, że coś się może w tej materii zmienić, bo EFSA przeprowadza obecnie ponowną weryfikację dopuszczania dodatków do żywności. Prace te mają się zakończyć do końca 2020 r. Z listy dodatków dopuszczonych do żywności EFSA usunęła już barwnik E 128 używany do barwienia mięsa. Ograniczono także stosowanie barwników oznaczonych E 104 (żółcień chinolinowa stosowana w rybach wędzonych, w deserach w proszku), E 110 (żółcień pomarańczowa stosowana w zupach w proszku, w panierkach, w ciastkach biszkoptowych z galaretką, w kremach jogurtowych), E 124 (czerwień koszenilowa stosowana w słodyczach i galaretkach owocowych). Dla tych trzech barwników zastrzeżono rygory, czyli obniżono akceptowane codzienne spożycie (ADI).

W czasopiśmie i audycjach telewizyjnych mówi się ciągle o kulturze żywieniowej – diecie i racjonalnym odżywieniu. W szkołach prowadzi się zajęcia z edukacji żywieniowej opartej na „piramidzie żywieniowej”. Zaleca się liczyć kalorie. Nikt jednak nie wspomina o liczeniu dodatków „E” dla danego wyrobu. Na etykietach rozpisane są wyraźnie

i w szczegółach wartości odżywcze z podaniem kaloryczności i RWS (referencyjnej wartości spożycia). Niestety nie ma podobnego zestawienia dla dodatków „E”. Nie podaje się ilości i dopuszczalnych norm, czyli akceptowanego codziennego spożycia (ADI). Składniki wraz z dodatkami zapisane są jednym ciągiem i możliwie najmniejszą czcionką. Jeszcze kiedyś umieszczano informację o dodatkach w postaci litery „E” z co najmniej trzy-cyfrowym numerem. Taki zapis był łatwy do zapamiętania i identyfikacji. Teraz unika się pisania „E” i zapisuje się składniki w postaci długich nazw chemicznych z podaniem funkcji technologicznej, np. w kostkach rosołowych znajduje się: *wzmacniacz smaku: glutaminian monosodowy, 5’-rybonukleotyd diosodowy*.

Ktoś zapewne dba o to, by w mediach pannało głucho milczenie na temat niebezpiecznej dla zdrowia kumulacji dodatków „E”. Wiele się mówi o tym, że rośnie ilość zachorowań na nowotwory, alergie i inne choroby. Nie wiąże się jednak tego z substancjami za-

wartymi w oferowanej w handlu żywnością, choć dodatki żywieniowe skomasowane w dużych ilościach w jednym produkcie są bombą z opóźnionym zapłonem. Rosnąca ilość zachorowań w Polsce przypisuje się czynnikom cywilizacyjnym – złej diecie, smogowi i stresom. Nie ma debat o tym, że jemy szkodliwą żywność nafaszerowaną chemikaliami i GMO. Tylko nieliczni konsumenci mają świadomość tego problemu i stają na głowie, by zdobyć żywność jak najmniej przetworzoną. Niestety, większość zubożałych Polaków musi jeść to, co wyłożone jest na półkach hipermarketów, bo jest tanie. Od paru lat w dyskontach w Polsce zaroilo się od ciepłego pieczywa prosto z pieca. Mało kto wie, że chrupiące, pachnące bułeczki powstają z głęboko mrożonego ciasta naszpikowanego licznymi ulepszaczami i konserwantami, m.in. propionanem wapnia E 282 przeciw pleśniom i sorbinianem potasu E 202 – słodzikiem uważanym za rakotwórczy.

Ciekawe, dlaczego w mediach omawia się działalność NIK w różnych kontekstach; a to o jej prezesach, a to o przeprowadzanych przez nią kontrolach dotyczących GetBacku i Służby Więziennej. Nie wspomina się natomiast o dokumencie alarmującym Polaków o szkodliwych substancjach zawartych w żywności

i o porażających zaniedbaniach służb powołanych do ochrony naszego zdrowia. Czy dziennikarze i politycy, których nie zainteresował raport NIK wiedzą, co jedzą? Czy nie zależy im na swoim zdrowiu i zdrowiu dzieci? Smutne jest to, że otwierając polski rynek na UE, zliberalizowaliśmy nasze wcześniejsze surowe wymagania, które chroniły zdrowie konsumentów w Polsce. Nie mieliśmy na półkach frykasów, ale i nie mieliśmy tylu trucizn. Nie można było sprowadzać do nas batoników snickersów i marsów, bo przekraczały polskie normy jakościowe. Wraz z UE zawitała do nas kolorowa, pięknie opakowana żywność, a z nią mnóstwo niezdrowych składników. Najbardziej narażone są dzieci, które coraz częściej cierpią na różne schorzenia, głównie na alergie. Nic dziwnego, bo w słodyczach znajdują się przeróżne barwniki wywołujące reakcje alergiczne. Takim barwnikiem jest na przykład tartrazyna (E 102).

Raport NIK stwierdził, że spożycie dodatków do żywności, takich jak konserwanty, przeciwutleniacze, słodziki, emulgatory, wzmacniacze smaku i barwniki przez niektóre dzieci, przekracza normy nawet pięciokrotnie. W przebadanej na zlecenie NIK sałatce ze śledziem znajdowało się 12 dodatków do żywności. Rekordową liczbę substancji dodatkowych zastosowano w kielbasie śląskiej – aż 19, (na statystyczny produkt przypada 5 dodatków do żywności. W kielbasie śląskiej znalazł się konserwant – azotan sodu E 250 powodujący zaburzenia ciśnienia, który przekształca się w potencjalnie rakotwórcze N-nitrozoaminy. W skład tej kielbasy wchodził też dodatek E 407 wywołujący zaburzenia jelit i żołądka oraz E 412 powodujący skurcze oskrzeli i niezbyt nosa. W analizowanych 501 produktach żywnościowych, azotyn sodu E 250 występował aż w 130 produktach. W raporcie można znaleźć zestawienie dodatków potencjalnie szkodliwych z przyporządkowaniem chorób, które mogą wywoływać lub potęgować, np. barwnik E 110 może być rakotwórczy i niebezpieczny dla astmatyków oraz dla dzieci powodując dekoncentrację i nadpobudliwość. NIK zwrócił uwagę na szkodliwe działania kwasu askorbinowego E 300. Częste spożywanie produktów zawierających ten dodatek może przyczynić się do powstania nadkwasoty, tworzenia kamieni nerkowych, a w wyniku jego reakcji z benzoanem sodu E 211 uwalnia się rakotwórczy benzen.

Jesteśmy świadkami monopolizacji handlu żywnością i zastępowania żywności preparatami chemicznymi. Nie wrócimy już do dawnych sposobów produkcji żywności, gdy do konserwacji używano soli, do barwienia żywności ekstraktu z marchwi, buraków, a zieleń uzyskiwano z chlorofilu liści. Dobrze jednak, że ukazał się raport naczelnego organu kontroli państwowej NIK, który mimo zamilczenia należałoby przejrzeć, by uczulić się na to, co jemy. O tym, że żadna instytucja w Polsce nie dba o nasze zdrowie, dowiadujemy się końcowej konkluzji raportu, która brzmi: „Izba alarmuje, że system nadzoru nad stosowaniem dodatków nie gwarantuje pełnego bezpieczeństwa żywności”. Wiemy też, że producenci nastawieni są tylko na swój zysk, a swoją aktywność koncentrują na lobbowaniu przy tworzeniu prawa, by kryło ich zachłanność. Wobec powyższego, pozostaje nam zrobić sobie ściągę z nazwami substancji dodawanych do żywności, zaopatrzyć się w lupę i potraktować zakupy jak swoiste grzybobranie. Zanim wrzucimy jakiś produkt do koszyka w sklepie, obejrzymy go dokładnie (jego etykietkę), tak jak robimy to z każdym znalezionym grzybem; w trosce o zdrowie nasze i naszych bliskich.

MARCIN KELLER

Skąd się biorą protesty w Hongkongu?

Gdy widzimy w mediach relacje z jakichś protestów, wraz z informacją otrzymujemy interpretację wydarzeń obowiązującą w mainstreamie. Do ukrytych faktów i prawdy musimy niestety dochodzić sami. Przy próbie rozszyfrowania sprawy protestów w Hongkongu, najbardziej istotny jest fakt, że Hongkong związany jest z Chinami, które rywalizują o mocarstwo ze Stanami Zjednoczonymi. Odrzucając dyplomatyczno-handlową wojnę pomiędzy tymi potężnymi mocarstwami, nie da się zrozumieć wydarzeń w Hongkongu.

Od 9 czerwca tego roku trwa fala protestów w tej 7,5-milionowej metropolii. Oficjalną przyczyną wystąpień jest tzw. ustawa ekstradycyjna umożliwiająca przekazywanie mieszkańców Hongkongu władzom Chińskiej Republiki Ludowej i tamtejszemu wymiarowi sprawiedliwości. Manifestanci domagają się również „demokratycznych” wyborów do lokalnych władz. Dziś szefa autonomii wybiera kolegium złożone z członków prochińskich elit. Faktycznie sprawa jest o wiele bardziej złożona. Chodzi o wprowadzane przez władze pekińskie zmiany w programach szkolnych Hongkongu, do których dokładana jest chińska „edukacja patriotyczna”. Zmiany te nie podobają się młodym ludziom. Na ulice Hongkongu wychodzą setki tysięcy mieszkańców. Media podają, że jednego dnia było ich nawet dwa miliony. Są to w przeważającej większości uczniowie, studenci, młodzi intelektualiści i robotnicy. Mówią, że przyszli protestować na ulice, bo chcą zachować specjalny status autonomii Hongkongu. Obawiają się, że złota era wolności, demokracji i kapitalizmu – kończy się. Jest jeszcze inna mniej eksponowana przyczyna obecnych protestów. W 2017 r. chiński parlament postanowił, że w południowej prowincji Chin Guangdong będzie budowane największe na świecie megalopolis złożone z dziewięciu organizmów miejskich, w tym Hongkongu, Makau, Kantonu i Shenzhen. Od 1 lipca 2047 r., kiedy Hongkong powróci do chińskiej macierzy, miasto to stanie się jedną z dzielnic tego megamiasta. Prace posuwają się bardzo szybko. W tym roku oddano już 55-metrowy most rozpierający nad taflą morza. Budowana jest też w ekspresowym tempie aglomeracyjna sieć metra. Mieszkańcy Hongkongu boją się, że to megamiasto wchłonie ich, ograniczy ich swobody i zmieni ich kapitalistyczny styl życia.

Warto przyrzeć się historii. Hongkong został przekazany (oddany) przez Brytyjczyków Chinom 1 lipca 1997 r., zgodnie z traktatami podpisanymi jeszcze w XIX w. Kolejne decyzje określiły okres przejściowy, który ma obowiązywać 50 lat. Kończy się on 1 lipca 2047 r. i od tego dnia Hongkong stanie się częścią Chińskiej Republiki Ludowej. Omawiany autonomiczny region Chińskiej Republiki Ludowej, nazywany też specjalną enklawą Chin, funkcjonuje pod nazwą Specjalnego Regionu Administracyjnego SAR (Special Autonomic Region). Miasto to nadal korzysta z dziedzictwa poprzednich właścicieli. Język angielski jest drugim po kantońskim językiem urzędowym. Również system prawny tego miasta bazuje nie na chińskim, lecz na brytyjskim systemie prawnym. W Hongkongu nie ma cenzury, rząd trzyma się daleko od biznesu, bogaci nie płacą podatku od dywidendy, a sądy są niezależne od Chin. Pod kontrolą chińskiego, komunistycznego mocarstwa funkcjonuje kapitalistyczna enklawa. Dlatego mówi się o Hongkongu: „jeden kraj, dwa systemy”, miasto gdzie „Wschód styka się z Zachodem”. Hongkong jest globalnym ośrod-

kiem finansów, któremu liberalna amerykańska grupa rankingowa Heritage Foundation przyznaje niezmiennie od 1995 r. tytuł najbardziej wolnorynkowej gospodarki świata.

Terytorium obecnego Hongkongu leży na południowym wybrzeżu Chin w pobliżu ujścia rzeki Sikiang. Obejmuje wyspę Hongkong zwaną po chińsku „Siangkang”, co znaczy „pachnący port”, półwysep Koulun oraz kilka drobnych wysepek. „Siangkang” został przyznany Brytyjczykom decyzją traktatu nankińskiego po I wojnie opiumowej w 1842 r. W 1898 r. obszar kolonii angielskiej został powiększony o „Nowe Terytoria” i wydzierżawiony Brytyjczykom na 99 lat. Hongkong po-



I wojnie światowej stał się jednym z największych portów świata oraz wielkim ośrodkiem handlowym. Terytorialnie port ten stanowi część miast Koulun i Victoria, która jest ośrodkiem administracyjnym SAR (całego Hongkongu).

Obecnie na czele lokalnego rządu Hongkongu stoi pani Carrie Lam. Jej zastępcami jest szef lokalnej służby bezpieczeństwa John Lee i sekretarz odpowiedzialny za wymiar sprawiedliwości Teresa Cheng. Właśnie te nazwiska są najczęściej skandowane przez protestantów, którzy żądają od rządu w Pekinie natychmiastowego usunięcia ich ze stanowisk. Pekin jednak tego nie robi w myśl obowiązującej w kulturze azjatyckiej zasady „mianzi”, czyli twarzy. Zasada ta mówi, że nie wolno ustępować i ugiąć się pod żądaniem demonstrantów. Pekinowi zależy na tym, aby Hongkong był nadal oazą otwartego biznesu, „bramą do Chin”. Hongkong ma nadzieję na rozwój wielkiego handlu i chce zarabiać na mobilizowaniu kapitału dla projektu Nowego Jedwabnego Szlaku – na ich ubezpieczeniu, obsłudze prawnej, doradczej, księgowej. Miasto to nie jest wolne od problemów. Mimo wielu starań chińskich władz, trudno jest wypłenić szajki narkotykowe, dla których Hongkong był kiedyś ważnym miejscem przerzu-

towym. W mieście tym widać wielkie kontrasty pomiędzy hiperbogatymi, a biednymi. Ulokowali się tutaj właściciele wielkich fortun, wśród nich wielka światowa finansjera i potentaci rynku nieruchomości. Od wielu lat na hongkońskim rynku nieruchomości panuje wielki kryzys. Światowe raporty podają, że Hongkong jest najmniej dostępnym rynkiem mieszkaniowym świata. Jest to także najbardziej przeludnione miasto świata. Mieszkania są dochodowym biznesem. Deweloperzy kupują tu ziemię i budują domy, ale nie wystawiają ich na sprzedaż czekając, aż ceny pójdą w górę. Innym procederem jest działanie właścicieli lokali, którzy dla większego zysku, grodzą swoje powierzchnie mieszkaniowe drewnianymi przepierzeniami i dzielą je na klitki o średniej powierzchni 5,3 metra kwadratowego na osobę. W takich klitkach gnieździ się ponad 200 tysięcy mieszkańców tego wielomilionowego miasta. Trudno się zatem dziwić frustracji ludzi, którzy wyszli na ulice. Zapoczątkowane pół roku temu protesty trwają nieustannie przechodząc różne fazy nasile-

nia i wygaszania. Demonstranci mają już na swoim koncie atak na siedzibę tamtejszego parlamentu i przedstawicielstwa władz centralnych. Zorganizowali strajk generalny, polegający na tym, że pracownicy wielu firm przerywali pracę na znak solidarności z protestującymi. Demonstranci paraliżowali pracę lotniska i blokowali pracę wyższych uczelni. 18 sierpnia protest przybrał formę cichego marszu. Ulicami Hongkongu przemaszerowało wtedy około miliona młodych ludzi w kompletnej ciszy. Demonstranci stają się coraz bardziej agresywni, niektórzy uzbrojeni są w metalowe pręty i ostre narzędzia. Dewastowane są sklepy i płoną barykady na ulicach. Trudno się zatem dziwić, że policja rozprawia się z nimi coraz ostrzej. Kiedy w dniu 1 października Chiny uroczystie obchodziły 70. Rocznice proklamacji Chińskiej Republiki Ludowej, w Hongkongu protesty nie ustawały. Rząd chiński jednak nie chce radykalizacji konfliktu i powstrzymuje się od użycia siły, choć armia czeka w gotowości. Chiny nie chcą siłowego rozwiązania konfliktu, bo zależy im na spokoju w regionie. W styczniu 2020 roku odbędą się na Tajwanie wybory prezydenckie i parlamentarne, a Chiny chciałyby zacieśnić współpracę z tym bliskim sąsiadem. Cierpliwość i wyczekiwanie jest metodą chińskich władz.

Nie da się uniknąć pytania, kto za tym wszystkim stoi? Kto inspiruje, pomaga i doradza protestującym mieszkańcom Hongkongu. Władze w Pekinie zarzucają udział obcych sił w podsycaniu niepokojów społecznych wskazując na USA i Wielką Brytanię. Widać wiele podobieństw łączących protesty w Hongkongu z innymi „kolorowymi rewolucjami” na świecie. Wspólną cechą „wicherzycieli” jest nadreprezentacja młodych ludzi. Podobnie wyglądały protesty podczas „arabskiej wiosny”. Podobnie było podczas „rewolucji róż w Gruzji”, „rewolucji pomarańczowej” i tej niedawnej na Ukrainie, „rewolucji tulipanów w Kirgistanie” oraz „antyputinowskich” protestów w Rosji. Masowe protesty młodych ludzi miały też miejsce w Hongkongu w czerwcu 2014 r. Zapamiętano je pod nazwą „rewolucja parasolkowa”, bo demonstranci szli w strugach deszczu pod parasolkami. Dzisiaj na czele protestujących w Hongkongu stoi ruch Occupy Central. Ten sam ruch, który organizował protesty pięć lat temu. Chińskie media podawały wtenczas, że liderzy tego ruchu przeszli specjalne przygotowania u amerykańskich służb specjalnych. Nie mówi się głośno o tym, że międzynarodowi eksperci uczą młodzież taktyki ruchów protestacyjnych, strategii prowadzenia negocjacji z władzami, pracy na portalach społecznościowych. Proklamowany cel, to szerzenie wartości demokratycznych. A w rzeczywistości chodzi o destabilizację polityczną i wywieranie wpływu na wewnętrzną sytuację państw.

Amerykanie z powodu szybko rosnącej potęgi Chin, obawiają się o swój status hegemona świata, dlatego pilnie śledzą wydarzenia w Hongkongu, a nawet prowokują Chiny. Świadczy o tym dwie ustawy, które pod koniec listopada uchwalił Kongres amerykański. Podczas obrad jeden z senatorów wypowiedział takie zdanie: Amerykanie nienawidzą tyranów i są solidarni z Hongkongiem. Cały świat widział odwagę protestujących i brutalność chińskiej partii komunistycznej. Tak długo, jak zwolennicy demokracji będą wychodzić na ulice, Amerykanie będą ich wspierać.

W ustawie „o prawach człowieka i demokracji w Hongkongu” rząd Stanów Zjednoczonych uzależnił preferencyjny status tego regionu w swoich relacjach handlowych, od jakości autonomii Hongkongu. Ponadto ustawa ta otworzyła drogę do nakładania sankcji przez USA „za łamanie praw człowieka”. Druga ustawa Kongresu zakazała eksportu do Hongkongu środków i broni do walki z demonstrantami, wśród których wymieniono gaz łzawiący i gumowe kule. Z tego widać, że Amerykanie przypisują sobie prawo decydowania, jakim sprzętem mają się posługiwać służby porządkowe innego państwa. Nie dziwi więc, że odpowiedź Chin na takie dictum była natychmiastowa. ChRL nałożyła sankcje na organizacje pozarządowe mające siedziby w USA. Rząd chiński robi swoje choć wie, że cały świat wyczekuje, jaka będzie jego następna reakcja na przeciągające się protesty mieszkańców Hongkongu. Chiny są znane ze strategicznej dalekowzroczności i znakomitej dyplomacji więc póki co, realizują swoje mocarstwowe cele. Jednym z narzędzi tej polityki jest zaciskanie współpracy z Rosją, której przychylność jest bardzo ważna w rozgrywce ze Stanami Zjednoczonymi. Postępują w myśl reguły: „wróg mojego wroga jest moim przyjacielem”. Przywódca Chin Xi Jinping przyznając rok temu chiński „Medal Przyjaźni” Putinowi, nazwał rosyjskiego prezydenta swoim „najlepszym, najbliższym przyjacielem”. Polska mogłaby się uczyć od tych obu państw dalekowzroczności.

Get Brexit done! Zakończmy Brexit

Kryzys polityczny wywołany Brexitem, a więc procesem opuszczania przez Wielką Brytanię struktur Unii Europejskiej, zapoczątkowany przez referendum w czerwcu 2016 roku, ogarnął Wyspy Brytyjskie i całą Europę.

Od czasów pamiętnego wystąpienia premiera Davida Camerona, który 23 stycznia 2013 r. zapowiedział referendum w sprawie członkostwa Wielkiej Brytanii we Wspólnocie Europejskiej, zmieniały się rządy konserwatywne, władze sprawowała Teresa May i Boris Johnson, a jednak lewicowe media wieszczyły rychły upadek brytyjskiego buntu. Jeśli Anglicy odrzucą europejską homogenizację, to polegnie masoński plan jednego europejskiego organizmu, jednego europejskiego języka, jednego europejskiego obyczaju, jednego europejskiego państwa.

My, nieszczęśliwi widzowie „polskiej” telewizji, słyszeliśmy nie raz, że „już zaraz” Brytyjczycy odrzucą „fałszywe” referendum, że „nikt normalny na Wyspach nie chce wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej”, że „chwilowy spadek nastroju Anglików” ustąpi i Europa odetchnie, bo przecież „wszyscy w Europie chcą być unionistami”. David Cameron, kiedy formułował problem Brexitu, zakładał zresztą, że w wyniku „pozornego politycznego buntu Anglików” nastąpią reformy wspólnoty, że wzrośnie poziom historycznej dominacji Wielkiej Brytanii w Europie, itd. Okazało się, że po upadku rządów Camerona i Teresy May, Anglicy mieli już tego dosyć.

Po kilku próbach porozumienia się z Unią Europejską i kilku głosowaniach nad tymi ustaleniami w brytyjskim parlamencie – rozpisano nowe wybory. Grudzień 2019 roku okazał się dla Brytyjczyków lustrem, w którym zobaczyli własne odbicie, z którego mogą być dumni.

W wyniku przedterminowych wyborów przeprowadzonych 12 grudnia 2019 r. Partia Konserwatywna premiera Borisa Johnsona będzie mieć bezwzględną większość w nowej Izbie Gmin – tak wynika z oficjalnych rezultatów czwartkowych wyborów parlamentarnych w Wielkiej Brytanii. To najlepszy wynik konserwatystów od czasu ostatniego zwycięstwa Margaret Thatcher w 1987 r. Partia Konserwatywna Borisa Johnsona będzie mieć 364 posłów w 650-osobowej Izbie Gmin, co daje jej bezwzględną większość. Opozycyjna Partia Pracy będzie miała 202 mandaty. To z kolei jest najgorszym wynikiem od 1935 roku.

Zwycięstwo brytyjskich konserwatystów oznacza, że wyjście Wielkiej Brytanii z UE w ustalonym terminie, czyli 31 stycznia przyszłego roku, jest przesądzone. Przed wyborami konserwatyści zapowiadali, że jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia pod obrady



Boris Johnson

parlamentu wróci ustawa o porozumieniu z UE w sprawie warunków wyjścia.

Boris Johnson 55-letni charyzmatyczny polityk, ośmieszany w polskojęzycznych mediach, poprowadził Partię Konserwatywną do najlepszego wyniku od 1987 roku, przejmując w toku kampanii kontrolę nad blisko sześćdziesięciu – tradycyjnie lewicowymi okręgami wyborczymi. Wyborcy byli tam na- zbyt zmęczeni przeciągającym się opóźnieniem ws. opuszczenia Wspólnoty.

My Polacy zarzucamy sobie sami często, że bierzemy chętnie przykład z obcych tradycji. Jeśli tak, to zachodzi już dziś pytanie, czy jako Naród sięgniemy po laur integralności, samodzielności i tożsamości w kryteriach rozwoju naszej drogi państwowej? Niech angielski Brexit będzie nam przykładem.

MIROSLAW ORZECOWSKI

Przez sprawiedliwość do miłości

18 grudnia minęła 80. rocznica urodzin, a 23 stycznia minie 7. rocznica śmierci Księdza Prymasa Józefa Glempa. „Był sprawiedliwym w duchu swego patrona św. Józefa (...) Taka sprawiedliwość, pełna pokornego oddania woli Bożej, była fundamentem jego głębokiej miłości do Boga i człowieka, która była światłem, natchnieniem i mocą w trudnej postudze przewodzenia Kościołowi w dobie znaczących przemian społecznych i politycznych, jakie miały miejsce w Polsce i w Europie” – napisał Ojciec Święty Benedykt XVI w depeszy kondolencyjnej.

Józef Glemp urodził się 18 grudnia 1929 r. w Inowrocławiu. Podczas okupacji pracował przymusowo w niemieckim gospodarstwie rolnym. W 1950 r. wstąpił do Prymasowskiego Wyższego Seminarium Duchownego w Gnieźnie. Święcenia kapłańskie otrzymał w 1956 r. w bazylice prymasowskiej w Gnieźnie, z rąk Biskupa Franciszka Jedwabskiego. Pracował jako kapelan siostr dominikanek w Mielźnie, przy zakładzie dla dzieci nieuleczalnie chorych, równocześnie poświęcając się pracy wychowawczej i nauczaniu religii w szkole w Ruchocinku i w domu dla nieletnich przestępców w Witkowie.

W latach 1958-1964 odbył studia specjalistyczne z prawa kanonicznego i świeckiego na Papieskim Uniwersytecie Laterańskim w Rzymie. Po powrocie do Polski pełnił funkcje: sekretarza w Prymasowskim Wyższym Seminarium Duchownym w Gnieźnie i notariusza w Kurii Metropolitalnej Gnieźnieńskiej w Trybunale Metropolitalnym. W latach 1967-1979 pracował w Sekretariacie Prymasa Polski w Warszawie, jako referent i jednocześnie kapelan i sekretarz Ks. Kard. Stefana

Wyszyńskiego. W tym okresie służył pomocą duszpasterską w kościele św. Marcina i w ośrodku duszpasterstwa akademickiego przy kościele św. Anny.

W latach 1972-1979 prowadził zajęcia z prawa rzymskiego, a później z prawa małżeńskiego na Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. W 1979 r. został mianowany biskupem ordynariuszem diecezji warmińskiej. Święcenia biskupie przyjął w bazylice prymasowskiej w Gnieźnie z rąk Prymasa Stefana Wyszyńskiego, Abp. Metropolity krakowskiego Franciszka Macharskiego i Bp. Jana Obląka, sufragana warmińskiego. W Episkopacie Polski pełnił funkcję przewodniczącego Komisji „Iustitia et Pax”.

W 1981 r. mianowany Arcybiskupem Metropolity warszawskim i gnieźnieńskim, Prymasem Polski. Jako Prymas Polski został także opiekunem duszpasterstwa Polonii zagranicznej i ordynariuszem na terenie Polski dla Kościołów obrządku grekokatolickiego i ormiańskiego. W 1983 r. otrzymał godność kardynalską. Po reorganizacji struktur Kościoła w Polsce, w marcu 1992 r., pozostał Ar-

cybiskupem Metropolity warszawskim, zachowując godność Prymasa Polski.

W latach 1981-2004 pełnił funkcję przewodniczącego Rady Stałej i Konferencji Episkopatu Polski. Był także przewodniczącym II Synodu Plenarnego w Polsce. Był członkiem watykańskiej Kongregacji dla Kościołów Wschodnich, Papieskiej Rady ds. Kultury i Najwyższego Trybunału Sygnatury Apostolskiej. Był doktorem honoris causa 10 wyższych uczelni w kraju i zagranicą oraz honorowym obywatelem wielu miast. W 2000 r. otrzymał Pokojową Nagrodę im. Giorgia La Piry, w uznaniu dla postawy w czasie stanu wojennego w Polsce.

Jako duchowy opiekun polskiej emigracji odwiedzał wielokrotnie środowiska polonijne na wszystkich kontynentach. W swoim dorobku posiada ponad 100 artykułów z dziedziny teologii, historii teologii, prawa kanonicznego i ponad 50 książek, w większości dokumentujących jego posługę pasterską i działalność kaznodziejską.

6 grudnia 2006 r. Ojciec Święty Benedykt XVI przyjął jego rezygnację z urzędu arcybiskupa metropolity warszawskiego, złożoną w związku z osiągnięciem wieku emerytalnego, zgodnie z przepisami prawa kanonicznego. W 2007 r., po rezygnacji Abp. Stanisława Wielgusa z urzędu arcybiskupa metropolity warszawskiego, Ojciec Święty Benedykt XVI powierzył mu pełnienie funkcji administratora apostolskiego archidiecezji warszawskiej do kwietnia 2007 r.



18 grudnia 2009 r. ukończył 80 lat. Tego samego dnia zgodnie z decyzją papieża Benedykta XVI zakończył 28-letnią posługę jako urzędujący Prymas Polski. Jego następcą został Abp Henryk Muszyński. Od tej chwili tytuł Prymasa powrócił do gnieźnieńskiej stolicy biskupiej, z którą jest historycznie związany, Kardynałowi Józefowi Glempowi zaś przysługuje dożywotni tytuł prymasa seniora.

Zmarł 23 stycznia 2013 r. po ciężkiej chorobie. Ojciec Święty Benedykt XVI napisał w depeszy kondolencyjnej: *ta miłość Boga i Kościoła, troska o życie i godność każdego człowieka sprawiały, że był apostołem jedności, a nie rozłamu, zgody, a nie konfrontacji, wspólnego budowania pomyślnej przyszłości w oparciu o przeszłość, podniosłe i bolesne doświadczenia Kościoła i Narodu*. Dodał też: *„Osobiście bardzo ceniłem jego szczerą dobroć, prostotę, otwartość i serdeczne oddanie sprawie Kościoła w Polsce i na świecie. Takim pozostanie w mojej pamięci i modlitwie.*

Łódzkie problemy z lokalami komunalnymi?

Problem z lokatorami z rozsypanych się kamienic nie jest w Łodzi nowy. Powszechnie wiadomo, że żydowscy inwestorzy budowali je mało starannie, tj. bez solidnych fundamentów, albo i w ogóle bez podpiwniczenia (stąd częsta obecność komórek na zewnątrz tych kamienic), a dziś te kamienice idą w rozsypkę.

Kiedy w 2002 r. Kropiwnicki został prezydentem Łodzi, problem ten był dla mnie widoczny i konieczność podjęcia działań służących zapobieganiu ludzkiemu nieszczęściu również. Kilka pomysłów było, lecz on nie widział mnie w swoim otoczeniu, a i ja nie widziałem się obok człowieka, któremu tylko Żydzi i Litzmannstadt Ghetto w głowie.

Proponowałem wtedy zagospodarowanie przez miasto kubatury (olbrzymiej) hal pofabrycznych na tanie mieszkania komunalne i socjalne (wzorując się na powieści Grishama „Obrońca ulicy”). Pomysł tylko częściowo podchwycono, lecz nie na rzecz takich mieszkań. Kropiwnicki (specjalista od katolickiej nauki społecznej), który najwidoczniej losem biedoty z mieszkań komunalnych się nie przejmował, postanowił urządzić w halach pofabrycznych sklepy, kina, hipermarkety (Manufaktura w dawnym Poznańskim) czy luksusowe apartamenty dla nowobogaczków u Scheiblera.

Proponowałem również rozwój budow-

nictwa komunalnego w systemie TBS. Była też jeszcze jedna możliwość. Ok. 200 mieszkań można było wygospodarować w hotelu Centrum, który już przestawał być znaczącym hotelem w Łodzi. Niestety, dopuszczono do dzikiej prywatyzacji. Gmach po byłym hotelu Centrum przejęła firma produkująca wodę sodową, czy inne napoje, a jedyne co potrafiła, to wyburzyć kilkunastopiętrowy gmach, w którym można było zorganizować ok. 200 mieszkań.

Problem mieszkalnictwa komunalnego w Łodzi nabrzmiał także z powodu fałszywej narracji przez minione ćwierć wieku uprawianej przez władze miasta i obecnej w mediach. Jej rdzeniem było: Łódź się wyludnia, a skoro się wyludnia, to nowe lokale mieszkalne są zbyt duże. Niestety to fałsz. Okazało się, że Łódź jednocześnie wyludnia się, ale i rozsypuje się w kupę gruzu jej substancja mieszkaniowa, te stare kamienice, w których znajdowała się większość mieszkań komunalnych.

Obecnie deweloperka buduje w Łodzi



Łódzkie kamienice syją się w zastraszającym tempie

z wielkim rozmachem, lecz jej dzieło nie rozwiąże problemów lokatorów komunalnych. Ich problem jest problemem łódzkiego Magistratu, z którym on, nikt inny musi się uporać.

Nakazuje mu to ustawa o samorządzie gminnym.

JACEK KĘDZERSKI

38. rocznica wprowadzenia stanu wojennego

Minęło 38 lat od wprowadzenia stanu wojennego w Polsce. W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. na ulice polskich miast wyjechały czołgi, a więzienie zappełniły się tysiącami internowanych, aresztowanych i skazanych w trybie doraźnym więźniów politycznych. „Rewolucja Solidarności”, jak każda rewolucja okazała się szybko utopią, nawet mimo, iż postulaty na dzisiejszy rozum były całkiem umiarkowane.

Ale realizacja przez komunistów choćby części żądań politycznych równałaby się z upadkiem systemu „zdjęlano w CCCP”. Dlatego ludzie systemu rzucili wojsko, milicję i całą bezpiekę na rewolucjonistów, czyli, lekko licząc 10 mln Polaków – rodzin nie licząc.

Stan wojenny pośród wielu klęsk, jakich był przyczyną, do jednego przyczynił się wyjątkowo skutecznie – do zdławienia wszelkiej aktywności społecznej Polaków. Komunistom wyszło to na dobre, bo po roku strajków, ulicznych walk demonstrantów z ZOMO, rewolucjoniści zeszli do podziemia, a zwykli Polacy wrócili do maszyn, produkcji akordeowej i dramatycznego niedostatku wszystkiego. Zmaganie się z trudami codzienności było kolejnym elementem pacyfikacji powstańczych nastrojów w „Solidarności”. Zabiegani za podstawowymi artykułami, młodzi ojcowie i matki porzucili walkę i przeszli na bierny opór – wobec wszystkiego. I ten stan przetrwał najdłużej, bo aż po dziś dzień, mimo że upłynęło aż 30 lat od tamtych wydarzeń, mimo śmiertelnych ofiar wśród strajkujących i manifestujących, mimo skrytych morderstw księży i działaczy opozycji – odpowiedzialni za to bezprawie, funkcjonariusze PZPR i bezpieki wciąż pozostają bezkarni, wielu z nich dożywa spokojnie i w do-

statku swych dni, wielu stanowi „elitę” społeczeństwa.

Stan wojenny miał wszystkie cechy zamachu stanu: wprowadzono go niezgodnie nawet z wówczas obowiązującym prawem. Miał być „mniejszym złem” i ocalić Polskę przed sowiecką interwencją. Dziś liczne dokumenty i relacje potwierdzają, że żadna interwencja nie była planowa, choć prosił o nią gen. Jaruzelski.

W chwili wprowadzenia stanu wojennego powołana została Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego, nazwa szybko przez Polaków „Wrona”, zamknięto granice państwa, ograniczono swobodę poruszania się po kraju, wprowadzono godzinę milicyjną. Zmilitaryzowane zostały najważniejsze instytucje i przedsiębiorstwa. Zakazano strajków i zgromadzeń, działalności związkowej i społecznej. Sądy działały w trybie doraźnym. Wprowadzono cenzurę korespondencji i łączności telefonicznej. Na ulicach pojawiło się wojsko i ZOMO. Ok. 10 tys. osadzono internowania. Osoby zaangażowane w działalność opozycyjną pozbawiano możliwości pracy.

Brutalnie tłumione były, głównie przez ZOMO, demonstracje, a strajki jak np. w kopalni Wujek, w której zginęło 9 górników, zakończono się użyciem wojska.

Zdelegalizowana została oczywiście „So-



Pomnik górników poległych na Kopalni Wujek w grudniu 1981 roku

lidarność”, a jej czołowi działacze internowani. Wprawdzie działalność konspiracyjna, głównie w formie podziemnej prasy i pomocy internowanym i ich rodzinom, zaczęła się tuż po wprowadzeniu stanu wojennego, ale po jego zniesieniu odradzała się już inna „Solidarność” – ta która w 1989 r. podpisała przy okrągłym stole porozumienie z komunistami. Warto podkreślić wielką rolę Kościoła, który w okresie stanu wojennego i po nim niósł wszechstronną pomoc społeczeństwu.

Wprowadzenie stanu wojennego wywołało szok w świecie. Światowa prasa, z wyjąt-

kiem niemieckiej, która podeszła bardzo powściągliwie do wydarzeń w Polsce, pełna słów poparcia dla Solidarności, a Stany Zjednoczone wprowadziły sankcje gospodarcze.

Stan wojenny zawieszono w grudniu 1982 r., a w lipcu 1983 r. Sejm PRL uchwalił jego zniesienie oraz amnestię dla więźniów politycznych. Dziewięć lat później Sejm uznał jego wprowadzenie za nielegalne. Mimo prób osądzenia winnych wprowadzenia stanu wojennego, są małe szanse na uzyskanie sprawiedliwości przed sądami.

IWONA KLIMCZAK

Tragiczne losy Ojców Niepodległości

General Tadeusz Rozwadowski – wybitny dowódca wojskowy i strateg, a także dyplomata, zwycięzca w bitwie warszawskiej, jeden z ojców polskiej niepodległości, ofiara sanacji był bohaterem listopadowego spotkania „Aspektu Polskiego”. Wykład na jego temat wygłosił Henryk Nicpoń, autor książki pt. „Polowanie na generała. Piłsudski kontra Rozwadowski”.

Gen. Rozwadowski urodził się w 1866 r. Po ukończeniu gimnazjum uczył się w Szkole Kadetów Kawalerii oraz w Wojskowej Akademii Technicznej w Wiedniu. Szybko dał się poznać jako niezwykle zdolny strateg i dowódca w armii austriackiej, w której służył. Nie było wszak Polski na mapie Europy.

Prelegent wiele miejsca poświęcił końcowemu okresowi I wojny światowej i odradzaniu się państwa polskiego, szukając tu rozbieżności w koncepcjach państwowych Piłsudskiego i Rozwadowskiego, które skutkowały niechęcią tego pierwszego, mimo że obaj walczyli po stronie państw centralnych (Niemcy i Austro-Węgry).

Gdy wybuchła I wojna światowa, główne uderzenie państw centralnych idzie po prawej stronie Wisły, od Annapola, w kierunku Lublina, Kraśnika. Tu walczy gen. Rozwadowski i jest jednym z ważniejszych dowódców. Warto podkreślić jego stosunek do miejscowej ludności. Otóż zachowuje się wobec niej wyjątkowo porządnie: dba o miejscową ludność.

Z drugiej strony w sierpniu do walki wyrusza Piłsudski ze swoją I Brygadą. Jak podkreśla prelegent, Piłsudski, agent austriacki i niemiecki, miał wzniecić powstanie. Ale I Brygada zachowuje się wobec ludności cywilnej zupełnie inaczej niż Rozwadowski: kradnie, gwałci kobiety, wszczyna burdy. Ludność więc ich nie popiera. Dlaczego tak czyni Piłsudski? – pyta H. Nicpoń. Bo tak naprawdę robi wszystko, żeby powstania nie wzniecić. Nie było ono w interesie Niemiec. Gdyby bowiem wybuchło, Rosjanie skierowaliby na Kielecczynę, gdzie operował Piłsudski wszystkie siły i po stłumieniu powstania mieliby krok do słabo bronionego Berlina. Niemcom i Austrii najbardziej zależało, żeby silne wojska rosyjskie wciągnąć w pułapkę. Jak najdalej od Berlina i Wiednia. Takim miejscem jest pułapka galicyjska.

Tymczasem 7 października Rada Regencyjna, powołana przez Niemców w 1916 r., ogłasza niepodległość Polski i oznajmia, że w skład państwa polskiego powinny wejść ziemie zaboru austriackiego i rosyjskiego – w Berlinie do przyjęcia, ale i zaboru niemieckiego – to dla Niemców nie do przyjęcia. Rada oznajmia też, że w przypadku wybuchu powstania na ziemiach polskich, należy udzielić mu wszelkiej pomocy. De facto wypowiada więc Niemcom posłuszeństwo. 28 października mianuje nowym wodzem naczelnym i szefem sztabu gen. Rozwadowskiego, a jego zastępcą gen. Zagórskiego, jednego z szefów wywiadu austriackiego.

Wtedy na scenę wkracza Piłsudski, a właściwie wkraczają Niemcy, którzy trzymają Piłsudskiego w Magdeburgu. Niemcy chcą pozbyć się Rady Regencyjnej i wykorzystują Piłsudskiego. By dać mu władzę, wymyślają rząd lubelski. Premierem został więc socjalista Ignacy Daszyński. Po przyjeździe Piłsudskiego przekazuje mu władzę. Na scenę wkracza Jędrzej Moraczewski, agent niemiecki, znany z proniemieckich poglądów i on zostaje premierem nowego rządu.

Niemcy byli świetnymi inżynierami społecznymi. Przykładem scenariusz z Leninem,

którego przywieziono do Rosji, żeby wysadzić imperium. Lenina witają tłumy, bo Niemcy każdemu kto przychodzi płacą miesięczne pobory. Scenariusz z Piłsudskim był trochę inny, bo Niemcom zależało, żeby w Polsce nie wybuchło powstanie. Piłsudski otrzymał władzę w sposób kameralny. Musiał także zapewnić, że nie będzie sięgał po ziemie zaboru pruskiego. Niemcy nie chcą tracić swych rubieży wschodnich, czyli terenów Polski. Anglicy godzą się pomóc Niemcom z obawy, że po wojnie Francja stanie się supermocarstwem i może zagrozić Wielkiej Brytanii. W interesie Londynu leży niedopuszczenie do osłabienia Niemiec ponad miarę. Stąd w czasie konferencji w Paryżu Anglicy popierają Niemców.

Niemcy przywieźli Piłsudskiego 10 listopada, to był ostatni dzień, gdy mogli to uczynić legalnie. 11 listopada podpisują akt kapitulacji i tracą możliwość swobodnego działania.



Gen. Włodzimierz Zagórski, Władysław Sikorski i gen. Tadeusz Rozwadowski

Gdy gen. Rozwadowski i Piłsudski się spotykają, widać, jak różną wizję państwa mają. Piłsudski uważa, że wojsko powinno być z pospolitego ruszenia, ochotnicze i milicja obywatelska, czyli jako siły zbrojne żadna ranga. Rozwadowski uważa, że wojsko ma być z poboru, wyszkolone, profesjonalne, wojsko którego przeciwnik będzie obawiał, a do tego apolityczne. Rozwadowski uważa, że dla żołnierza najważniejsza jest przysięga. Żeby żołnierze austriackiej armii mogli służyć w wojsku polskim, uzyskał zgodę cesarza na zwolnienie z przysięgi. 7 listopada składają przysięgę na wierność odrodzonemu państwu polskiemu.

Trudno wyjaśnić dziś sprawę czeskiej Skody, jednego z największych wówczas producentów broni. Złożyła Polsce ofertę przeniesienia całej produkcji wojskowej do Polski na świetnych warunkach. Państwo polskie miało z tego wysokie zyski. Propozycję przedstawiciel Skody złożył na ręce gen. Rozwadowskiego, który ją przekazał rządowi Moraczewskiego. Ten się jednak nie zgadza się. Trudno zrozumieć powody tej decyzji. Na pewno była w interesie Niemiec, którym zależało, by armia polska była słaba i źle uzbrojona. Historia mogłaby się potoczyć inaczej...

Tymczasem wybucha wojna polsko-bolszewicka. Jak podkreśla H. Nicpoń, gdybyśmy nie wszczęli tej wojny, otrzymalibyśmy dużo więcej na Wschodzie. Znow w interesie Niemiec i Wielkiej Brytanii było, żeby żądania polskie osłabić. Wojna była świetnym pretekstem. Państwo polskie skupione w walkach na Wschodzie nie pomogło powstańcom śląskim i wielkopolskim.

Mamy wojnę polsko-bolszewicką. Prelegent podkreśla, że przez długi czas uważał, że Piłsudski stchórzył. Historycy mówią też o załamaniu nerwowym Piłsudskiego. Ale to nie wszystko tłumaczyło. Nowe światło na sprawę rzuca opublikowane w „Najwyższym Czasie” zeznania Tomasza Dąbala z 1937 r. Dąbał to trochę komunista, trochę socjalista, przyjaźniący się z Piłsudskim. Jeśli wierzyć jego zeznaniom, to dymisja Piłsudskiego związana była z ofertą objęcia przez Piłsudskiego funkcji komisarza ludowego na Polskę. To tłumaczy dymisję na ręce Witosa.

Dramat Rozwadowskiego rozegrał się w 1926 r. Gen. Rozwadowski był do bólu uczciwy, przestrzegający przysięgi wojskowej, wymagający od żołnierzy, czego nie można



litari i innymi odznaczeniami. To jeden z ojców niepodległości.

Podczas mszy świętej w intencji ofiar zamachu majowego, gdy w kościele są wszyscy piłsudczycy, ks. Panaś wychodzi jako celebrians z tymi wszystkimi orderami, rzuca je na ziemię i mówi, że tych orderów nie będzie nosił, bo wręczył mi je Piłsudski. Mówił: *Ja, były kapelan wojsk legionowych Piłsudskiego, oświadczam wobec Boga, trumien pomordowanych mych braci i wszystkich obecnych, co następuje: Zgrzeszyłem ciężko, gdyż niemal bałwochwalczo czciłem i wierzyłem w prawość i uczciwość żołnierską Piłsudskiego, lecz Pan Bóg sprawiedliwy mnie za to ukarał, gdyż dzisiaj muszę patrzeć na największą ze zbrodni na świecie, którą popełnił Piłsudski.*

Ordery te, które dotąd zdobyły mi pierś (...) otrzymane z rąk Piłsudskiego, nosiłem z dumą i chlubą. Dziś po tej zbrodni, którą on popełnił, palą mi piersi, zwracam je, gdyż te same ordery znajdują się na piersiach generała Dreszera, zwycięzcy w bratobójczej walce, rzucał mu pod nogi, ponieważ zostały zhańbione.

Został natychmiast zwolniony ze stanowiska i przeniesiony w stan spoczynku. W latach 30-tych działał w ruchu ludowych i spółdzielczym oraz w Związku Hallerczyków.

Losy ks. Panaś są bardzo ciekawe, dziwne, że hierarchowie o nim zapomnieli. Po wejściu do Lwowa Sowieci zostali aresztowani i zamordowani podczas śledztwa, prawdopodobnie w kwietniu 1940 r. Zginął jak męczennik za polskość i za wiarę. Pochodził z Odrykonii, z Podkarpacia.

Jak wspomniano, gen. Rozwadowski i Zagórski zginęli. Wszystkie poszlaki wskazują, że gen. Rozwadowski został otruty, ale nie można tego potwierdzić, bo nie ma jego ciała. Pochowany we Lwowie ze swoimi żołnierzami, został przeniesiony przed zniszczeniem Cmentarza Orłąt przez Sowieci. Być może pochowano go na Cmentarzu Łyczakowskim. Ciało Zagórskiego nigdy nie znaleziono. Dwa najważniejsi ludzie zostali zamordowani. W 1939 r. również w tajemniczych okolicznościach umiera Wojciech Korfanty. Stan zdrowia pogorszył się nagle po aresztowaniu przez sanację w 1939 r., mimo zwolnienia i leczenia nie udało się go uratować. Lekarze, podobnie w przypadku Rozwadowskiego podejrzewali zatrucie arszenikiem.

Warto dodać, że po zajęciu Krakowa Hitler wystawił przy grobie Piłsudskiego wartę honorową. Uważał, że gdyby Piłsudski żył to Polska uderzyłaby wraz z nim na Rosję.

Spotkanie odbywało się w ramach projektu dofinansowanego przez Narodowy Instytut Wolności z Funduszu Inicjatyw Obywatelskich na lata 2014-2020).

Roberto zawiódł

„Środowiskową” anegdotą przywitał publiczność ze sceny Teatru Wielkiego w Łodzi, przed premierą „Viva la Mamma!” Gaetano Donizettiego, nowy dyrektor placówki, Dariusz Stachura. Oto ów żart: jedna śpiewaczka mówi do drugiej – Byłam dziś u fryzjera. A ta druga – I co, zastałaś zakład zamknięty?

Niektóre instruktaże wystąpień publicznych zalecają rozpoczęcie przemowy od żartu, gdyż to zjednuje słuchaczy. Dariusz Stachura, notabene znakomity tenor, tak właśnie uczynił, ale postanowił zarazem zainaugurować swą dyrektorską kadencję „żartem repertuarowym”, czyli premierą opery komicznej Donizettiego, mającej podtytuł Teatralne obyczaje i nieobyczajności, zawierającej nie za dużo muzyki, za to obszerne partie mówione. Jak się wydaje, jedynym istotnym przesłaniem łódzkiej inscenizacji jest znana skądinąd prawda o śpiewakach, którą swego czasu dobitnie wyraził Jerzy Waldorff: śpiewak łatwiej pogodzi się ze zmianą rządu, jak z większymi oklaskami dla swego partnera.

Reżyser Roberto Skolmowski (znany mi dotąd jako Robert) poprzedził przedstawienie projekcją ekranową stanowiącą wizję apokaliptyczną. Nastąpił rok 2040 i z niejasnego powodu doszło do prawie całkowitej zagłady ludzkości. Tylko w ruinach łódzkiego teatru operowego zachowało się życie. Tu właśnie, jak gdyby nigdy nic – na przekór totalnej katastrofie, trwają przygotowania do próby (a więc teatr w teatrze). Primadonna ćwiczy arię, zaczynają się utarczki w związku z decyzjami obsadowymi, pojawiają się żądania zaliczki, podwyżki (także, w zbiorowym proteście, „podwyżki o pół tonu” – co ma być

zabawne, lecz jest muzycznym nonsensem, bo wyżej śpiewać na ogół trudniej). Związane z mentalnością solistów intrygi, zazdrość, implikują niby-śmieszne sytuacje, niestety, niewiele tekstu (polskiego w tej realizacji) można zrozumieć, gdyż dykcja jest ogólnie fatalna – nie po raz pierwszy na tej scenie! Zresztą autorka polskiej wersji libretta, Joanna Kulmowa, raczej nie osiągnęła wyżyn, dało się zrozumieć m.in. takie zdanie: „To be czy nie to be – jak napisano w Biblii”. Od razu inna uwaga podstawowa. Nie odmawiam Piotrowi Micińskiemu umiejętności wokalnych i aktorskich, ale słuchanie przez dwie godziny jego rozwijanej drażniącym, „drewnianym” falsetem narracji w roli Agaty wystawiło mnie na ciężką próbę.

Skolmowski postanowił zrobić z tej opery kabaret, wzorując się po części chyba na „zwariowanym” kabarecie Olgi Lipińskiej. Tyle że tutaj, zamiast uroczego szaleństwa, widzowie musieli oglądać koncepcyjny banał i wcale nie śmieszną – co jest głównym paradoksem całego przedsięwzięcia – tandetną błazenadę, do której momentami wciągnięta została nawet dyrygująca umieszczoną wyżej, niż zwykle, orkiestrą, Marta Kosielska. Zamiast wykonywać niepotrzebne i naiwne gesty, powinna ona zachować dystans, to byłoby lepsze. W każdym razie Kosielska sumiennie



spełniła swe zadania, była precyzyjna rytmicznie, świetnie panowała nad orkiestrą dynamiką w sensie nieforsowania jej podczas śpiewu (a z tym w łódzkiej placówce różnie bywa), potrafiła przekonująco skonstruować wyrazowo różne fragmenty, np. marsze żałobny i triumfalny. Muzycy orkiestry konstruktywnie współdziałali, sekcja skrzypiec, w „rossiniowskiej” uwerturze jeszcze niecałkowicie spójna, potem „wyszła na prostą”.

Bardzo dobra technicznie okazała się wykonywana przez Joannę Woś koloraturowa partia primadonny Corilli Sartinacchi (w trakcie arii m.in. popijającej szampana). Nieźle spisali się wokalnie inni soliści, w tym „wykolegowany” niegdyś z Wielkiego, właśnie skutkiem intryg, bas Rafał Pikała. W ogóle, jeśli szukać atutu premiery, to w muzycznym wykonawstwie. Także w kontrapunktujującej dyskretnie grupce tancerzy (wśród nich utalentowana nie tylko tanecznie Beata Brożek, która też na łódzką scenę, jako Colom-

bina, niniejszym powróciła). Nie zawiódła zapewne swych sympatyków twórczyni dekoracji i kostiumów, zawsze pełna fantazji, Zuzanna Markiewicz. To wszystko nie zmienia jednak całościowego wrażenia, jakże marnego.

W Teatrze Wielkim bywały takie spektakle, na które chodziło się kilka razy (ostatnio balet Ludwiga Minkusa *Don Kichot*). Ci, którzy na *Viva la Mamma!* dosiedzieli do końca (bo zauważyłem, że niektórzy w trakcie przerwy wyszli) raczej się ponownie „na Roberto Skolmowskiego” nie wybiorą. Wygląda na to, że reżyserowi gust się obniżył. Jakiś czas temu Robertowi trochę lepiej udało się wyreżyserowanie na tej samej scenie pokrewnego w tematyce dziełka Domenico Cimarosy, *Impresario w opalach*. Tamto przedstawienie było w tanich, scenicznych wygłupach bardziej powściągliwe.

JANUSZ JANYST

Módlmy się za naszych kapłanów

Niepokojące informacje dobiegają ze Stolicy Apostolskiej. Około 30 proc. księży, których Papież Franciszek wybiera na biskupów, odmawia tej nominacji i jest to wskaźnik trzykrotnie wyższy niż jeszcze 10 lat temu.

Oznajmił o tym prefekt Kongregacji ds. Biskupów ks. kard. Marc Ouellet w wywiadzie dla hiszpańskiego pisma „Vida nueva”. To przykra i smutna konsekwencja kryzysu Kościoła i ateizacji przetaczającej się przez Europę.

– Gdy przybyłem tu [do Watykanu] przed prawie dziesięcioma laty, jeden nominat na diecezję nie przyjmował tej decyzji, tłumacząc to względami osobistymi lub innymi. Obecnie jest ich trzech na diecezję – oświadczył kanadyjski kardynał kurialny, który objął to stanowisko 30 czerwca 2010. Wyraził przypuszczenie, że być może kandydaci nie czują się na siłach być biskupami, może brakuje im wiary, może mają jakieś trudności w swoim życiu lub wolą nie ryzykować, że wyrządzą jakie szkody Kościołowi.

– Są to różne powody, które należy uszanować – dodał purpurat. Jego zdaniem trzeba to łączyć z „ogólnym kryzysem wiary”, jaki przeżywa duża część świata i który przejawia się także „w małżeństwie, życiu konsekrowanym, kap-

łańskim i w kulturze”.

Kardynał-prefekt przedstawił następnie „portret-robota” idealnego biskupa. – Nie wystarczy podkreślać prawd wiary, gdyż kultura

zmieniła się ogromnie w ostatnich 40 latach i należy wejść w nową epokę dialogu – stwierdził rozmówca pisma, zaznaczając, że Kościół potrzebuje dziś mniej profesorów, a więcej duszpasterzy. Dlatego szuka się obecnie duchownych czujących „zapach owiec”, aby „odczuwali empatię” i zainteresowanie „najuboższymi i dalekimi”.

– Jeśli troszczymy się bardziej o cierpią-



cych, opuszczonych, biednych, walczących o przeżycie, to cała wspólnota jest w stanie misji i w ten sposób odnawia się dzięki konkretnej miłości – podkreślił 75-letni prefekt Kongregacji ds. Biskupów. Przyznał, że ciągle jeszcze są „kapłani i biskupi”, którzy nie zrozumieli do końca tej sprawy. – Biedni nie są ideologią dla papieża, ale są czymś ewangelicznym. Jest to misja, wychodząca od miłości i jeśli nie poprzedza jej miłość, to żadne wyjaśnienie nie pomoże, żadne słowo tam nie dotrze – stwierdził kardynał Ouellet.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że paraliż wiary dotarł do samego centrum Kościoła. Odrętwienie i oziębłość religijną czuć nawet w słowach ks. kard. Marca Ouelleta. Nie wol-

no stawiać pobieżnych hipotez w tak fundamentalnych sprawach, ale dotyczą one nas, wierzących ludzi Kościoła. Z troską wiemy, że kryzys kapłaństwa jest niezwykle groźny dla Kościoła Chrystusowego, bo brak biskupów i brak księży, a przecież notujemy też głęboki spadek powołań kapłańskich może doprowadzić do zaniku życia sakramentalnego! To niezwykła próba dla Kościoła, dla nas wiernych i dla duchowości religii. Naszym kapłanom na pewno potrzebna jest nasza modlitwa.

Świętego Kościoła katolickiego moce piekielne nie przemogą, ale zło rośnie w naszych sercach. Porzucanie wiary i oziębłość duchowa może być zgubna dla człowieka. Bez księży niknie ważność Kościoła, co oddala nas od Boga, ku potępieniu.

TERESA SZEMERLUK

Święty czas Bożego Narodzenia

Zbliża się ku końcu adwent, to znak, że za chwilę Boże Narodzenie. Jak chyba żadne inne święta obrosły zwyczajami, obrzędami i tradycjami. Co więcej, są bardzo znane i bardzo powszechnie kultywowane. Czy warto więc o nich pisać?

Pytanie to tylko na pozór retoryczne, bo jesteśmy w ostatnich latach świadkami z jednej strony podważania religijnego charakteru tych świąt i rugowania ze świąt Bożego Narodzenia Boga, który się narodził; a z drugiej z uczynienia z tych świąt targowiska próżności i jarmarku. Czasem mam wrażenie, że my katolicy bronimy się coraz słabiej, a często ulegamy bezwolnie tym pogańskim trendom. Dawne świąteczne zwyczaje też ewoluują i niektóre zanikają, co jest rzeczą naturalną, bo zmienia się świat, styl życia i obyczaje.

Rorate caeli desuper

Cztery tygodnie przed Bożym Narodzeniem rozpoczyna się Adwent, czyli oczekiwanie. Oczywiście oczekiwanie na narodzenie Pana Jezusa. W tym czasie wierni odbywają rekolekcje, uczestniczymy też w roratami czy mszach świętych o Matce Bożej, których symbolem jest zapalona świeca. Msza rozpoczyna się od słów: *Rorate caeli desuper (spuście rosę niebiosy)*. Dalej śpiewamy: *Spójrz, Panie, na udrękę twego ludu/ I pošlij tego, którego masz posłać/ Ześlij Baranka, Władcę ziemi, ze skały pustyni do góry Córy Syjonu/ By on sam zdjął z nas jarzmo niewoli*. Pan Bóg daje nam nadzieję: *Pocieszcie się, pocieszcie się, ludu mój/ Wkrótce nadejdzie twoje zbawienie/ Czy dlatego tracisz ducha, że odnowiła się twoja boleść?/ Ocalę cię, nie bój się/ Jam jest bowiem Pan, Bóg twój, Święty Izraela, twój Odkupiciel*.

Jest to więc czas smutku, jak Wielki Post, ale i czas refleksji i nadziei. Znanym zwyczajem związanym z Adwentem jest wieniec adwentowy z czterema świecami. W pierwszą niedzielę – zapalana jest jedna świeca, w drugim druga, a w ostatnim – wszystkie. Zwyczaj pochodzi z Niemiec i jest związany z wyznaniem ewangelickim. Innym także niemieckiego rodowodu jest kalendarz adwentowy, przy pomocy którego odlicza się dni do świąt. Ten ładny zwyczaj niestety został szybko wykorzystany w celach komercyjnych. Przybiera to czasem wręcz żalosne formy, jak kalendarz adwentowy z jednym sklepów internetowych z... karmą dla zwierząt.

Dzień, co zaczyna się o zmroku

To wyjątkowy dzień w polskim kalendarzu. Nigdzie na świecie nie ma tak uroczystej i odrębnej od wszystkich innych obyczajów wigilii. Słowo wigilia pochodzi z łaciny (*vigilia*) i oznacza czuwanie. Wprawdzie to, co najważniejsze odbywa się wieczorem, ale cały dzień obrósł zwyczajami obecnymi jeszcze w szczątkowej formie w niektórych domach. W wigilię należało wstać wcześniej, aby rok był pomyślny, nie wolno było się kłócić, by cały rok nie był pełen niezgody. Nie należało też pożyczać nikomu pieniędzy ani innych rzeczy.

Niegdyś wierzone, że tego dnia duchy mogą odwiedzać swoich bliskich, siadając należało więc dmuchać na ławy i stołki, bo nie przysięść ducha.

Punktem kulminacyjnym była wieczerza wigilijna, która powinna się zaczynać, gdy na niebie zabłyśnie pierwsza gwiazdka. Ile

dzieci staje dziś w oknie, jak za czasów mojego dzieciństwa, by czekać na tę gwiazdę. Być może niektóre szukają jej w smartfonach...

Niezwykle było menu wigilijne. Choć w tym dniu nie ma nakazanego postu, to większość Polaków go zachowuje, bo postna winna być cała wieczerza. Liczba potraw na stole różniła się w zależności od regionu Polski i zamożności, najczęściej było ich 7 lub 12. Królowała ryba, choć karp, w którego obronie stanie dziś tak wielu, pojawił się jako obowiązkowa potrawa wigilijna dopiero w okresie PRL-u. Wcześniej, owszem karpia jedzono, ale z wigilią bardziej kojarzył się sandacz i szczupak.

Na wigilijnym stole, nakrytym białym obrusem, z siankiem pod nim, nie może też zabraknąć zupy grzybowej albo czerwonego barszczu, kapusty z grochem, makiełek czy kutii oraz kompotu z suszu. To niezwykle, bo właściwie każdy polski dom ma swoje wigilijne menu i zwyczaje. Najważniejsze, by każdej z tych potraw spróbować, bo to zapewni powodzenie na nadchodzący rok.

Zanim jednak zasiądziemy do wigilijnej wieczerzy należy podzielić się opłatkiem. Ten typowo polski zwyczaj jest jednym z naj-

chrześcijańskiego zwyczaju dzielenia się chlebem z pierwszych wieków chrześcijaństwa. W Polsce stała się jednym z najbardziej szanowanych zwyczajów, swoistym symbolem świąt Bożego Narodzenia. Opłatki dawano też zwierzętom, by zapewnić pomyślny chów. W niektórych regionach przeznaczano dla nich kolorowe opłatki. Zwierzęta, jak wiadomo, mówią w wigilię ludzkim głosem, ale nie należy ich podsłuchiwać.

Wieczerza rozpoczynała się od odczytania fragmentu Ewangelii o narodzeniu Pana Jezusa. To miało podkreślać i przypominać, co świętujemy. Zwyczaj ten, mimo że coraz mniej powszechny zachował się w jeszcze wielu domach, podobnie jak przygotowany dodatkowy talerz dla „zamorskiego gościa” albo „zbląkanego wędrowca”. Tego dnia nikt nie powinien bowiem spędzać sam, każdego należy też przyjąć na wieczerzę. Warto rozjeździć, czy nie mamy wokół siebie takiej samotnej osoby. Drobnym gestem może być wielkim dobrem uczynionym bliźniemu.

Czas po wieczerzy wigilijnej to czas prezentów, składanych pod przystrojonym drzewkiem sosnowym lub jodłowym. Zwyczaj ubierania choinki jest też dość młody i przybył, podobnie jak wiele zwyczajów z Niemiec. Dziś choinki nie tylko w instytucjach publicznych i sklepach, ale często też w domach pojawiają się już w okolicach Mikołajek. Choć i tu wkrada się współczesne szaleń-



Kossak w pięknej książce „Rok polski” – *lącząc po swojemu stare wierzenia z nowymi. Wilia, wieczerza o charakterze sakramentalnym jest tak mocno związana z nami uczuciowo, że w oczach wielu Polaków przesłania właściwe święto. Staje się treścią miast wstę- pem.*

A przecież najważniejsze zaczyna się po wigilii. Wieczór wigilijny kończy się bowiem Pasterką, mszą świętą, tradycyjnie odprawianą o północy, podczas której figurka Pana Jezusa przenoszona jest do żłóbka. Narodził się nam Zbawiciel...

Boże Narodzenie bez Pana Jezusa

Przygotowania do świąt wiążą się też głównie z szaleństwem zakupów, co zresztą, a często wręcz beczelnie wykorzystują handlowcy. Nachalna reklama, świąteczny wystrój sklepów i wszelaki asortyment „święteczny” pojawiają się już po Wszystkich Świętych. Jeszcze nieśmiało, bo przecież mamy nową świecką tradycję w postaci Black Friday, po którym święta zaczynają się w sklepach na całego. Co ciekawe, głównym motywem świąt podczas których czcimy narodzenie Pana Jezusa jest Mikołaj, choinka, bałwan, gwiazdka i śnieg. Akcenty religijne znikają nawet z kartek świątecznych.

Świat oszalał tak bardzo, że w wielu państwach zachodnich, w imię chorej poprawności politycznej nie używa się terminologii „Święta Bożego Narodzenia”, a „czas świąteczny”, „zimowe święta”. „Nie na topie” jest nawet najbardziej chyba popularne w świecie życzenie „Merry Christmas” – teraz mówi się „Seasons greeting” (świąteczne życzenia), albo Happy Holidays (wesołych dni wolnych). Przed kilkoma laty brytyjskie miasto Birmingham zamieniło „Christmas” na „Winterval” – neologizm łączący słowo i zima (winter) i festiwal (festiwal, impreza). Boże Narodzenie na zimową imprezę zamieniła też IKEA budząc tym sprzeciw (jeszcze) Skandynawów. To sama IKEA, która wyrzuciła pracownika za cytaty z Biblii nt. homoseksualistów i odmowę promowania ideologii LGBT. Warto zastanowić się przed następnym zakupem w tym sklepie. Są przecież inne... Niektórzy może pamiętają, że i polski MEN ma zasługi na tym polu. W 2014 roku w przygotowywanym naprędce darmowym podręczniku święta Bożego Narodzenia zamieniły się w... święta. Protest na szczęście był skuteczny.

Wbrew temu wszystkiemu, życzę Państwu radosnych Świąt Narodzenia Pańskiego. Oby udało się nam nie zgubić tego, co w tych świętach najważniejsze.

Polska przeżywa głęboko – pisze Zofia

IWONA KLIMCZAK



Grota Narodzenia

piękniejszych i zachowuje się w niemal każdym polskim domu. Opłatkiem dzielimy się też podczas tzw. spotkań świątecznych organizowanych w miejscach pracy, stowarzyszeniach, instytucjach, szkołach. To też piękny zwyczaj łączenia się z innymi ludźmi w świątecznej atmosferze. Chyba, że jest się radną warszawską z Lewicy (nazwiska chyba nie warto podawać). – *To jest gest z katolickiego rytuału związanego ze świętami* – wymyśliła pani radna, gdy dziennikarka TVN chciała przełamać się z nią opłatkiem. – *Próbuje mi pani narzucić katolicki zwyczaj i to podczas gdy pełnię oficjalną, publiczną funkcję. To naprawdę nie jest dobry pomysł*. Ciekawe, jakie święta obchodzi ta pani 25 grudnia? Może jak inna posłanka z „nowego rozdania”... przesilenie zimowe. Pozostaje współczuć.

Tradycja opłatka nawiązuje zapewne do

Co nowego w dokumencie?

Łódzki festiwal filmów dokumentalnych „Człowiek w zagrożeniu” okrępl już zbliżając się do trzydziestej edycji, a kilkunastu przeglad w Fabryce Sztuki pozwala rozpoznać dzisiejsze tendencje i zmiany w polskiej produkcji dokumentów. To są często obrazy prawie pełnometrażowe, o skomplikowanych formach podawczych łączących historyczne dokumentacje filmowe, fotografie, animacje rysunkowe, rekonstrukcje aktorskie, z wysublimowanymi eksperymentami operatora i montażysty.

Żaden polski festiwal nie pominie naszego doświadczenia lat okupacji, w tym roku Łukasz Czajka zrobił piękny dokument o bohaterstwie Jana i Antoniny Żabińskich pt. „O zwierzętach i ludziach”. Rzecz oparta na wspomnieniach Antoniny wzbogacona bogatą dokumentacją filmową i zdjęć z tamtego czasu. W latach czterdziestych Niemcy ograbili warszawskie zoo, często też po prostu polowano tam na zwierzęta, „ilu ludzi czeka ten sam los” – mówi narratorka. Akowiec Jan Żabiński w opustoszałych klatkach i piwnicach, na terenie zoo gdzie hodowano świnie, przechowywał uciekinierów z getta i organizuje im dokumenty. Rzykuje życiem całej rodziny, do konspiracji wciągnięto nawet kilkuletniego synka, w domu zawsze był stoik z trucizną, odchodzący do powstania Jan pozostawia żonie pistolet. Nieczęsty to był przypadek by ująć z życiem konspiracyjnym kilka lat na rzecz ok. 300 Żydów, o ocaleniu bohaterskiej rodziny zdecydowała zimna krew, pomysłowa brawura i zapewne coś jeszcze. Ja jeszcze pamiętam po wojnie pogadanki radiowe o zwierzętach Jana Żabińskiego.

Już godzinę później obejrzałem wstrząsający obraz Natalii Korynckiej-Gruz „Mała zagłada”, film o skomplikowanych formach podawczych, czasem realne wspomnienia dojrzałej kobiety, czasem poetyka snu małej dziewczynki, z całej rozstrzelanej wsi Sochy o 88 chałupach uratowała się tylko trójka dzieci, autentyczne fotografie po tej pacyfi-

kacji pozostawiają widza w zgoła innej kondycji psychicznej niż film poprzedni. Ten dokument pokazuje, że trauma wojenna jest dziedziczna, przechodzi z pierwszego na drugie i trzecie pokolenie.

Jednak Festiwal „Człowiek w zagrożeniu” wypełniają przede wszystkim przykłady przeciętnych kulturowych najzupełniej współczesnych. Znany już był wcześniej wstrząsający dokument interwencyjny braci Siekielskich „Tylko nie mów nikomu”. Natomiast w obrazie „Mój kraj taki piękny” na polskich ulicach patrioci biją się z lewakami, dalej w tej kwestii dyskutują uniwersyteccy intelektualiści, a potem znowu na ulicach kilku miast widzimy zorganizowane mordobicie aktywistów różnej maści, tak zwanych nacjonalistów i tak zwanych antyfaszystów. Ideologiczne podłoże ma także inny film o mężczyźnie dziedziczącym po babci warszawską kamienicę na ulicy Żłotej, młody rozgoryczony człowiek rozważa możliwość emigracji, ucieczki z Warszawy, mówi „Polska to przeklęte miejsce, nie do życia”. Tymczasem jego starsza przyjaciółka ujawnia mu własną gorzką prawdę o byciu emigrantką w Skandynawii (Żłota).

Jedną z trzech, najskromniejszą nagrodą na tym festiwalu, jest nagroda im. Aleksandra Kamińskiego za dokument „o człowieku przezwyciężającym zagrożenie”. Kandydatów do nagrody o takiej formule nie brakuje. W „Symfonii fabryki Ursus” emerytowani



pracownicy fabryki traktorów przez dziewięć miesięcy przygotowują jednorazowy spektakl, happening pod kierunkiem specjalistów. Tańczą i paradują w towarzystwie zabytkowych traktorów, imitują, odtwarzają własne gesty i czynności zawodowe, poszukują eksperymentalnych, nowych środków wyrazu w pantomimie. W innym filmie dziewięćdziesięcioletni staruszek z trudem i z pomocą innych wchodzi pod górę, bo od lat wcześniejszych jest parolotniarzem. I teraz tylko w obłokach czuje się panem sytuacji, szybując potrafi bić Rekord Guinnessa, oglądamy piękne zdjęcia starca w chmurach („Jeszcze lecimy”). A dalej („Połączeni”) były narciarz który z wiekiem utracił wzrok, znalazł równie niemłodą już partnerkę z którą powrócił w góry. Oboje są wyposażeni w hełmy ze słuchawkami, mogą zatem podtrzymywać wzajemną łączność. Niewidomy narciarz szusuje po stoku wsłuchując się w mikrofonowe komendy kobiety na wierzchołku góry „w prawo, w lewo, w prawo w lewo”, narciarz wpada w krzaki tylko wtedy, gdy kobiecie (jak to kobiecie) pomylą się strony. W filmie „Przerwana misja” żołnierz ciężko okaleczony na misji w Iraku z trudem odbudowuje swe relacje rodzinne, dzielnie staje wobec ograniczeń fizycznych i statusu inwalidy, ale wreszcie znajduje nową szansę służąc swym bojowym doświadczeniem młodszemu adeptom żołnierskiego powołania. Natomiast w dokumencie „Życie nr 2” operator Krzysztof Włostowski zaryzykował pokazać najbardziej dramatyczny moment w swoim życiu. Zaryzykował obnażyć swą prywatność w obliczu śmierci, obserwujemy go przed i po zabiegu przeszczepu szpiku, a przede wszystkim w momencie, w którym jego organizm sztucznie został pozbawiony naturalnej odporności. Operator na swoje szczęście znalazł dawcę, a film zrobił z myślą o innych pacjentach dopiero wyczekujących na dawcę szpiku.

Kiedy na łódzkim festiwalu pojawiają się dokumenty o Łodzi, rodzi się kwestia, czy wobec takich obrazów mamy stosować jakieś inne, bardziej liberalne oceny niż wobec filmów z innych miast. Łódzkie filmy wspierane są finansowo jak wszystkie inne przez PISF, ale dodatkowo lokalnie przez EC1, przez Atlas Kultury, przez Filmówkę, przez instytucje izraelskie, francuskie, itd. Bohaterką „Martwej natury” jest kobieta, która w roku 1968 wyjechała z rodzicami z Polski. Obecnie wędruje ona po Łodzi, a to z przyjaciółką artystką, a to z przyjacielem z Ameryki nie mówiącym już po polsku. Podwórko zapamiętane jeszcze z dzieciństwa mieści się przy Kilińskiego, rozpoznajemy natychmiast

tę rozwalającą się narożną kamienicę. Narratorka nie mówi wiele o roku 1968, wystarczy pokazać trybunę i przemawiającego Gomulkę. Zapewne ta kobieta była jeszcze za młoda, by maszerować w niekończącym się tłumie sprzed Politechniki do BUŁ-y przez całe miasto lub oberwać pałą na Placu Wolności. Narracja filmu wraca częściej do obrazów Litzmannstadt Getto, do filmów i unikalnych fotografii z tamtego czasu. U bohaterów tego współczesnego filmu miesza się nostalgiczny sentyment dla Łodzi z urazami i wspomnieniem miejsc tragicznych i urazą dziedziczną po przodkach wobec niektórych mieszkańców dawnej Łodzi. Ale w końcu dwoje gości wizytujących miasto odnajdują groby lub potomstwo tych, dzięki którym ich rodzice uratowali się, „szkoda byłoby Pani na mydło”, miała powiedzieć taka bohaterska kobieta.

Drugi film o mieście Łodzi, ponoć już nagrodzony, także nie jest konwencjonalną laurką dla naszego miasta (Diagnosis, E. Podgórska). Jakiś psychoanalityk francuski kolejno kładzie na kozetce kilkoro naszych mieszkańców, ludzi, starych i młodych, sugeruje im by spojrzeli na swe doświadczenia życiowe i swoje osobiste przeżycia w perspektywie miasta Łódź, by oddychali Łodzią. „Ja jestem Łodzią, a Łódź jest mną”. Jest to projekcyjne rzutowanie na miasto cech własnej osobowości. A miasto Łódź często jest tu fotografowane paskudnie, w ciemnych kolorach takich, jak osobowości owych rozmówców na kozetce. Jeden z nich został nawet w tamtym czasie zamordowany na Bałutach (?). Czasem jednak pojawiają się wysmakowane, odkrywcze kadry z góry, z drona. Tak sobie więc myślę, ja jestem Łodzią a Łódź jest mną, kiedy ją patrzę na walące się kamienice w coraz to innym miejscu, czuję że dawno już przekroczyłem siedemdziesiątkę, czy o to chodziło psychoanalitykowi?

Szkoda, że dokument filmowy ma dzisiaj dosyć ograniczony zasięg oddziaływania, krąży od festiwalu do festiwalu, dostępny jest wprawdzie w Internecie (VOD), ale w telewizji dokumenty zostały wyparte przez plotkarskie serie, w kinie przez komercyjne „produkcje fabularne” gdzie po kilku pierwszych scenach wiesz, co będzie dalej. Zauważyć tymczasem warto, że współczesna pełnometrażowa produkcja dokumentów coraz częściej rozwija właśnie całą opowieść fabularną, tyle, że nie zmyśloną od początku do końca.

BOGUSŁAW SUŁKOWSKI

Katolicki Klub im. św. Wojciecha i redakcja „Aspektu Polskiego”

zapraszają na spotkanie na temat

Kto rządzi w internecie?

Jak nie zgubić się w internetowym świecie? Jak odróżnić

prawdę od fałszu? Jak nie ulec manipulacji?

wykład wygłosi

dr Jan Przybył

19 grudnia o godz. 17.30

Szkoła Językowa Lloyd Woodley - Łódź, ul. Narutowicza 86



Projekt dofinansowany ze środków
Programu Fundusz Inicjatyw
Obywatelskich na lata 2014-2020



Program
Fundusz Inicjatyw
Obywatelskich
na lata 2014-2020

Zapraszamy!

Podziel się swoją historią

Szkice do portretu wojennego rodziny ze Stanisławowa

Repatrianci ze Wschodu podzielili się ze mną miłością, czyli tym czego nie odebrała im wojna, zostałam przez nich adoptowana. Utracili małą ojczyznę, ukochane miasta, Stanisławów, gdzie mieszkali i Lwów, gdzie się kształcili. Wspaniałe góry Czarnohorę i Gorgany, dziki Prut, nad którym spędzali wakacje, majątek, domy oraz pozycję towarzyską. Przede wszystkim jednak krewnych, przyjaciół, a w przypadku Rodziców możliwość posiadania biologicznego potomstwa.

Wojenne losy rodzin Ziarkiewiczów i Stamperów to wspaniały, wręcz modelowy materiał na serial filmowy. Codziennosc obu okupacji: strach, głód, represje, wywózki i egzekucje, spleta się z momentami symbolicznymi dla Polaków. Do takich zaliczam opuszczenie 18 września 1939 r. przez kuzyna ojca, Władysława Midowicza, obserwatorium na Pop Iwanie w Czarnohorze, którym kierował. Był to najwyższy położony budynek w Polsce, jej duma. Pierwsze potwierdzone nocne zestrzelenie samolotu niemieckiego Heinkel 111, którego dokonał szwagier taty – pilot myśliwski Władysław Jan Nowak. Stało się to z 10 na 11 maja 1941 r. w czasie lotu bojowego nad Londynem na samolocie Hurricane.

Wiele lat po śmierci rodziców w monografii „Konspiracja Lwowska 1939-1944” napisanej przez Grzegorza Mazura i Jerzego Węgierskiego przeczytałam: *Komendę Inspektoratu Stanisławów (krypt. „Afryka”) objął podobno w listopadzie 1943 r. Stanisław Witold Ziarkiewicz, poprzednio pełniący obowiązki komendanta samodzielnego obwodu Stanisław – miasto (krypt. „Europa”). Po pół roku został aresztowany, gdy na jego trop naprowadził gestapowców śledzony przez nich kurier wysłany ze Lwowa. Przez czerwiec i lipiec 1944 r. przebywał w więzieniu przy ul. Łąckiego we Lwowie.*

Tata, wówczas 28-letni nauczyciel gimnazjum kupieckiego, absolwent Wyższej Szkoły Handlu Zagranicznego we Lwowie, podjął się tego zadania z poczucia obowiązku. Hitlerowcy rozstrzelali mu młodszą siostrę Danutę Nowak (żonę wspomnianego lotnika Władysława) i teścia – germanistę Ignacego Stampera. Ojciec Adam Ziarkiewicz, lekarz weterynarii, kapitan rezerwy, wywieziony do Starobielska nie dawał znaku życia, ostatnią kartkę wysłał w lutym 1940 r. Ciotke, urzędnicze pocztowej, odrąbano piersi siekierą, w wyniku czego zmarła. Ginęli krewni, przyjaciele, koledzy, sąsiedzi, uczniowie.

Tatusz brał udział w kampanii wrześniowej pełnił funkcję dowódcy plutonu CKM w 49 Pułku Piechoty. Jednostka zajęła stanowisko obronne nad Jasłem, skąd w walkach wycofała się najpierw w kierunku Przemyśla, a potem Lwowa, gdzie została rozbita. Dostał się do niewoli, uciekł i wrócił do Stanisławowa.

Działal w konspiracji, co na tych terenach było jeszcze bardziej trudne, bowiem wróg nie był jeden. Za okupacji hitlerowskiej, aby obserwować budynek gestapo prowadził sklepik położony naprzeciwko bramy. Pod podłogą była ukryta broń. Po wojnie nie opowiadał o akcjach, raz tylko, kiedy wlekliśmy się za starą ciężarówką wiozącą kapustę wyrwał mu się: *w takiej kapuście wywieźliśmy tych wyprowadzonych z getta*. Powiedział to tak, jakby pomoc członkom żydowskiego ruchu oporu była czymś zwyczajnym. Poznałam też panie, które w czasie wojny jako młode dziewczyny uratowały przed wywózką na roboty do Niemiec.

23 maja 1944 r. został aresztowany przez gestapo. Udało mu się zjeść pieczętkę, przebywał krótko w więzieniu w Stanisławowie,

a następnie we Lwowie, skąd wywieziono go do obozu Gross-Rosen, komando Landeshut. Prawdopodobnie obóz, a nie stracenie, to wynik łapówki przekazanej przez Babcię i Mamusię. W grypsie z 4 lipca 1944 r. Tata pisał: *Dusienko najdroższa. Wczoraj, to znaczy 3 lipca byłem przesłuchiwany i podpisałem protokół. Co ze mną będzie, nie wiem. Na wszelki wypadek piszę do Ciebie tych parę słów. Gdy dostaniesz list to będzie to znaczyło, że zostałem wywieziony do obozu. Nie rozpaczaj wtedy Andeczko, gdyż tak widocznie chce Pan Bóg. Wracajcie z Mamą do domu i módlcie się, by Pan Bóg pozwolił mi wrócić do Ciebie. Jestem zdrow i silny, więc przy Bożej pomocy wszystko przetrzymam i prędzej czy później wrócę do Ciebie moje Ty. Szczęście najdroższe. (...) Pa moje Maleństwo całuję Cię niezliczoną ilość razy z całego serca i polecam Cię opiece Matki Boskiej. Twój na zawsze Tolek.*

19 lipca 1944 r. dotarł do obozu koncentracyjnego, otrzymał numer 6742. „Rozmowa” z więźniami było bicie. Głód, brud, choroby, niewolnicza po 16 godzin praca, ciągłe apele. Więźniowie sobie pomagali, niezależnie od narodowości i wyznawanej wiary. Pięknie w pamięci Taty zapisali się Jugosłowianie. Francuz dentysta za papierosy wyrwał mu ząb obcęgami, w kacie fabrycznej hali. W święta Bożego Narodzenia Niemcy puszczali z głośników i śpiewali „Cichą noc”, robiło to przejmujące wrażenie, ten moment był najtrudniejszy dla zachowania wiary. Pożywieniem była „zupa” tzw. wodzianka z brukwi, szczęście miał ten, kto znalazł w niej kawałek ziemniaka. Racja gliniastego czarnego chleba, kawa zbożowa na wodzie, w niedziele rarytas – łyżka mielonego surowego mięsa końskiego, które często cuchnęło. Jak szli do fabryki, okoliczna ludność bardzo agresywnie się wobec nich zachowywała, wymyślano im od polskich świń i polskich bandytów. Najgorsza była pewna staruszka z małego domku, strasznie przeklinała, rzuciła w więźniów kamieniami. Więźniowie, którzy poszli do kamieniołomów (tam kierowano inteligencję), żyli maksimum 6 tygodni, zwykle umierali wcześniej, często rzucał się z urwiska. Tacie udało się ukryć wykształcenie, podał się za pomocnika ślusarza, dlatego wylądował w fabryce łożysk kulkowych.

Rosyjski jeniec, młody podporucznik uratował Tacie życie, wciągnął go do baraku, gdy zemdłał, co uchroniło go przed pobicie. To mogło kosztować Rosjanina życie, gdyż wszelkie ludzkie odruchy hitlerowcy starali się wykończyć z więźniów. Najgorsi dla Polaków byli Ukraińcy. Tata dobrze znał zarówno ukraiński, jak i niemiecki, ten ostatni lepiej od czeskiego kapo i części ukraińskiej załogi. W obozie przechodził prawdopodobnie dyzenterię, przeżycie tej ciężkiej choroby graniczyło z cudem. Nabawił się też gruźlicy i wrzodów żołądka. Więźniowie byli przekonani, iż załoga

ich zlikwiduje zanim się podda. Przygotowywali się na śmierć, ale wcześniej na nierówną walkę, w tym celu barykadowali się w jednym z baraków. Niemcy jednak uciekli, do obozu 9 maja wkroczyli Rosjanie.

Badający go lekarz z Czerwonego Krzyża dawał mu miesiąc życia... pluł bowiem krwią, gorączkował, ważyła 45 kg przy wzroście 178 cm. Po piętnastu dniach cudem dotarł do Krakowa, o czym informuje list adresowany do Mamusi w Stanisławowie, podawany przez wiele życzliwych kolejańskich rąk.

Kochana Anduś! Wróciłem z obozu i przywędrowałem do Krakowa 25 maja. Jestem trochę chory, obóz i praca w fabryce naruszyły mi płuca, jednak nie jest to groźne i da się wyleczyć. Już biorę zastrzyki wapienne. Chorobą moją się nie martw, wszystko przyschnie na mnie jak na „psie”. Anduś przyjechać do was



Stanisław Ziarkiewicz (foto z archiwum autorki)

nie mogę, dlatego jeżeli możecie przyjeżdżacie. Kończąc całuję Cię mocno, Twój na zawsze Tolek.

Tatusz intensywnie leczył gruźlicę najpierw w szpitalu w Krakowie, a potem dwukrotnie w sanatoriach w Zakopanem. Jego trwający aż dziewięć miesięcy pobyt z lat 63-64 dobrze zapamiętałam. Miał marskie lewe płuco, wkrótce dołączyła rozedma. Podobno przez pierwszy rok suszył i chował chleb, chciał nabyć kozę, aby było mleko. Za brak szacunku dla chleba mógł pobić. W domu był on świętością, całował się go, gdy spał na ziemię, a przed krojeniem żegnało nożem. Nie mogłam grymasić, wszystkie odpadki żywności oddawaliśmy na wieś dla świń i kur.

Tatusz jako człowiek ze Wschodu znał mentalność i metody NKWD, wiedział czego uczyła bezpiekę. Opowiadał o fałszowanych wyborach, było to głosowanie za przyłączeniem ziem na Wschodzie do Republiki Ukrainskiej do ZSRR. Polaków z komisji wyprowadzono siłą z sali na posiłek, podczas ich nieobecności zapewne podmieniono urny. Wiedział, że przyznanie się w jego stanie zdrowia do działalności w AK było skazaniem się na śmierć, nawet gdyby oficjalnym wyrokiem było tylko więzienie czy wywóz. Zawsze pisząc życiorysy podawał udział w kampanii wrześniowej, więzienie i pobyt w obozie koncentracyjnym, które w wersji oficjalnej były następstwem uczestnictwa w tajnym nauczaniu. Jak przez mgłę pamiętam, iż składał zeznania w sprawie gestapowców ze Stanisławowa, chyba w ambasadzie w Warszawie, było to dla niego ogromne przeżycie.

O siostrze Taty, Cioci Danusi z Ziarkiewiczów Nowakowej najpiękniej napisała Karo-

lina Lanckorońska w swoich „Wspomnieniach wojennych”. Ta książka jest jej nagrobkiem. Tatusz był bardzo przeciwny pracy siostry w RGO (*Rada Główna Opiekuńcza – przyp. red.*). Nazywał ją „arystokratyczną zabawą”. Po pierwsze uważał, iż chodzenie do więzienia z paczkami dla więźniów nie jest bezpieczne dla młodej, odznaczającej się germańską urodą blondynki, po drugie było to niebezpieczne ze względu na jego działalność w AK. Akcję dożywiania więźniów uważał za bardzo szlachetną, ale mało skuteczną, gdyż większość paczek nigdy do więźniów nie dotarła.

Dziadek Ignacy Stamper był germanistą, profesorem II Gimnazjum Państwowego Męskiego w Stanisławowie, powtarzał swoim córkom Annie i Krystynie: *Niemcy to kulturalny naród, mają bardzo surowe przepisy, ale są zdyscyplinowani, szanują prawo*. Uważał, że skoro hitlerowcy kazali zgłosić się nauczycielom, należy się stawić, a on jako nauczyciel języka niemieckiego ma obowiązek wobec kolegów, bo na pewno trzeba będzie tłumaczyć rozmowy. Prawdopodobnie dziadek nie miał okazji nawet ust otworzyć, nie miał czego tłumaczyć, bo natychmiast zebranych wywie-

ziono na rozstrzelanie. Razem z profesorami (tablica pamiątkowa znajduje się na katedrze we Wrocławiu, tam też odbywały się nabożeństwa i zjazdy rodzin), aresztowano inteligencję, przedstawicieli wolnych zawodów. Przez długi czas rodziny dostarczały paczki do więzienia, tam je nie tylko odbierano, ale przekazywano, co mają zawierać, co jest potrzebne uwięzionym. Rodziny święcie wierzyły, że ich krewni żyją. Paczki te robiono kosztem wielu wyrzeczeń, w mieście panował głód. Mamusia szła dziadkowi koszule i bieliznę z prześcieradeł. W paczkach obok chleba był tłuszcz, cebula. Razem z dziadkiem aresztowano jego najlepszego przyjaciela pana Witolda

Dąbrowskiego, matematyka i przyrodnika, a także Stanisława Telichowskiego, za którego syna wyszła po wojnie Krystyna Stamperówna.

Rodzina Stamperów i Mamusia z Tatusiem od września 1938 r. mieszkali na osiedlu koło lotniska, w nowym domu z dużym ogrodem, przy ul. Kwiatowej 5. Hitlerowcy dom, z wyjątkiem kuchni i jednego pokoju, zabrali na kwatery. Wyrzucili na podwórkę wszystkie książki, połowa była napisana w języku niemieckim! I podpalili. W zgłiszczach Ciocia Krystyna znalazła egzemplarz nadpalonego Heinego, udało się jej odczytać między innymi zdaniem z „Tkaczy”: *Niemcy! My tkamy wam całun grobowy. Trzykrotne przekleństwo wprędliśmy w osnowy*. Odebrała je jako znak, który dodał jej otuchy. Gdy wojna wybuchła miała 17 lat i uczęszczała do Gimnazjum Urszulanek. Maturę zdawała za okupacji sowieckiej w koedukacyjnej szkole. W czasie okupacji niemieckiej przez pewien czas ukrywała się, a potem posługiwała się fałszywymi dokumentami, chciano bowiem, aby podpisała volkslistę i groźono wywozem na roboty.

Kiedy zaczynałam się uczyć historii, usłyszałam stwierdzenie: „cmentarze tworzą historię narodu”, nie jest to do końca prawda, miejsca pochówku krewnych moich adopcyjnych rodziców z trudem ustalano, w kilku przypadkach to się nie udało. Nie ma już w Stanisławowie grobów ich bliskich i to jest właśnie ta najprawdziwsza polska historia.

ANTONINA SEBESTA

Praca nagrodzona w konkursie redakcji „Aspektu Polskiego” pt. Podziel się swoją historią.

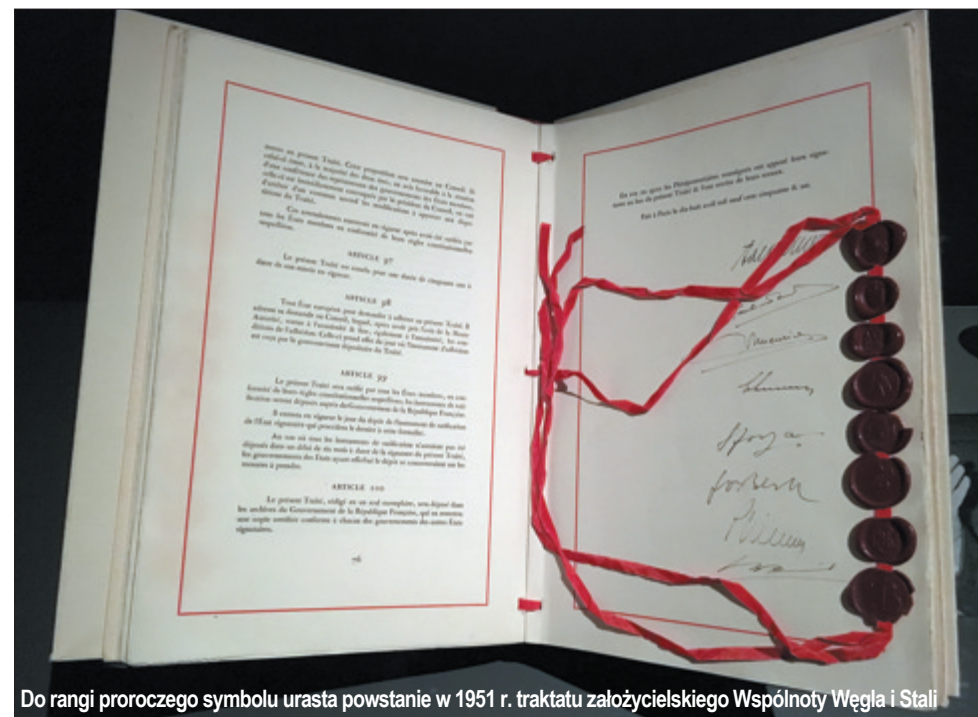
Kod genetyczny Unii Europejskiej (cz. 2)

Już w 1957 r. negocjatorzy implementacji projektu integracji europejskiej celowo przygotowali traktat dwuznaczny, niedookreślony, zdolny do wszelkich ewolucji, ale prowadzący do nieodwracalności procesu. Jak powiada Pierre Manent „nieokreśloność stanowi ostatnie stadium rozwoju demokracji, uwolnionej od takich atrybutów jak granica, naród, terytorium, kultura bycia, cywilizacja”.

Wiedzieli owi negocjatorzy, że narody nie zaakceptują nagłego odebrania im suwerenności. Są za to otwarte na uwspólnotowanie swych kompetencji, byle tylko dało się je odwrócić. Godzą się na cesję suwerenności jedynie w niektórych dziedzinach. Następnie utworzy się ponadnarodowa całość. „Potęgę makiawelicznego umysłu” Monneta warto wymierzyć jego pewnością, że jest w stanie sprawić, aby odebranie państwom ich suwerenności potraktowane było jako coś znośnego, poprzez niedost-rzegalny, stopniowy, lecz bez możliwości cofnięcia, transfer ich kompetencji (jak w znanej alegorii o „gotowaniu żaby”). W 1955 r. Monnet powołuje Komitet na rzecz Stanów Zjednoczonych Europy, którego pierwszym zadaniem zleconym przez Amerykę miało być unieszkodliwienie nuklearnej niepodległości Francji. Zamiar się nie powiódł wskutek zablokowania przez De Gaulle’a. „Ojcowie Założyciele” spisali się jednak na medal: „Stany Zjednoczone Europy” to w rzeczywistości *Stany Zjednoczone w Europie*.

Unia posuwa się do przodu małymi, zamaskowanymi posunięciami. Euro, migracje, handel: im bardziej otwierają się granice, tym bardziej zwiększa się nieufność i trudności między krajami; bardziej trzeba zwiększać regulacje i oddawać władzę ponadnarodowym organom. Każdy kryzys jest dobrym pretekstem do kolejnego kroku ku ponadnarodowości. Kraje członkowskie są już gotowe na przyjęcie propozycji, które dotychczas wydawały się nie do przyjęcia. Dla przykładu imigracja. Po usunięciu granic, wskutek jawnych (czyt. Merkel) i ukrytych (czyt. Soros) mechanizmów, powstaje migracyjny chaos. Kraje doprowadzone są do bezsilności. Unia przedstawia siebie jako czynnik mogący wybawić krajowych polityków z trudności. Polacy łudzą się, a rządzący ich w tym utwierdzają, że UE przyjęła ze zrozumieniem punkt widzenia polskiego rządu i zaprzestanie nacisków. Zapewniam, że nie ustaną prace nad różnymi metodami wywierania presji migracyjnej, tym bardziej, że Europa demograficznie wymiera. Pojawia się pytanie, czy promotorzy owego migracyjnego chaosu zdają sobie sprawę z jego celowego ukierunkowania ku stworzeniu kontr-społeczeństwa islamskiego, odrzucającego asymilację, lekceważącego prawo państwa goszczącego i rządzącego się odrębnym prawem szariat, nie wykluczając terroryzmu. Islam bowiem jest czymś większym niż religia, to prawo doczesne i duchowe, które obejmuje całokształt życia społecznego, próbując podporządkować sobie europejskie systemy polityczne. I taki właśnie gen stopniowej dekonstrukcji suwerenności i osobności tworzących prawdziwą Europę został świadomie wprowadzony przez „Ojców Założycieli”. Do rangi proroczego symbolu urasta moment powstania w kwietniu 1951 r. traktatu powołującego do życia wspólnotę przemysłu górnego. Nazwano to wydarzenie narodzinami Europy jako *dziewiczej, niezapisanej kartki*. Obradujący przez wiele dni przedstawiciele Francji, Niemiec, Włoch, Belgii i Luksemburga, wśród których widzimy Roberta Schuma-

na, nie mogąc uzgodnić wielu szczegółów rozjechali się do domów, uprzednio jednak składając podpisy *in blanco* na pustej kartce, która później została wypełniona przez zaufanych urzędników. Bo liczył się jednoczący duch europejski. Ów zaś podsunął „genialny” zabieg bezpośredniego skutku traktatów oraz bezwzględności prymatu prawa europejskiego nad prawem krajowym. Tym samym państwa, ich prawa, a nawet konstytucje są *de facto* zepchnięte na margines. UE stopniowo rozmon-



Do rangi proroczego symbolu urasta powstanie w 1951 r. traktatu założycielskiego Wspólnoty Węgla i Stali

tuje krajowe prawa i regulacje, wprowadzając w zamian bezmiar norm do krajowych porządków prawnych. Zwieńczeniem miała stać się niedoszła konstytucja europejska z 2005 r. Celem był świat zjednoczony pod egidą nieograniczonego rynku i prawa każdego do wszystkiego, a UE jako laboratorium doświadczalne przyszłego rządu światowego.

Wracając do Monneta, nieprzypadkowa była jego obecność w maju 1954 r. na zebraniu inauguracyjnym „grupy Bilderberg”, potajemnie gromadzącej wysoko postawionych decydentów europejskich i amerykańskich, a przez wielu, nie bez racji zwanej tajnym rządem światowym. Byli tam również wszyscy ważni ludzie związani z „konstruktem europejskim”.

Geneza UE byłaby niepełna, gdyby pominąć dzisiaj kompletnie przemilczaną postać innego „Ojca Założyciela”, Waltera Hallsteina. To pierwszy przewodniczący KE przez całą dekadę. Profesor prawa, osoba wybitnie inteligentna, acz z osobliwą przeszłością. Łatwo wyjaśnić powody wstydlwego ukrywania jego udziału.

Już od lat 30. XX w. był wysokiej rangi funkcjonariuszem NSDAP. W czasie wojny, w uznaniu zasług dla kształtowania prawa III Rzeszy, został awansowany do wysokiego stopnia oficerskiego. Ba, już od 1936 r. Hallstein współpracował z – tak, tym samym – Hansem Frankiem przy tworzeniu Akademii Prawa Niemieckiego, której został rektorem, a przez okres wojny służył jako instruktor narodowo-socjalistyczny. Miał to szczęście, że

w 1944 r. został wzięty w Normandii do niewoli przez Amerykanów, którzy – w ramach projektu „recyklingu” nazistów rokujących nadzieje na użycie przy budowie nowych Niemiec – przewieźli go na dwa lata do Fortu Getty w stanie Missisipi, w USA, gdzie był poddawany intensywnemu praniu mózgu. W 1946 r. Amerykanie uznali, że Hallstein kwalifikuje się do wykonania poważnych zadań w amerykańskiej administracji, a konkretnie powołali go na stanowisko rektora uniwersytetu we Frankfurcie n/Menem. Wkrótce potem rozpoczął karierę dyplomatyczną w niemieckim MSZ, wyznaczony przez Amerykanów do dokonywania „permanentnej przemiany” umysłu i ducha, która ma się dokonywać przez integrację ponadnarodową. Adenauer przedstawił Hallsteina jako specjalistę od pra-

wa międzynarodowego Jean Monnetowi, który włączył go do grupy ekspertów negocjujących plan Schumana. W 1957 r. w Rzymie Hallstein z ramienia Niemiec podpisuje traktat ustanawiający Wspólnotę. A dlaczego jemu właśnie poruczono to zadanie? Bo już w przededniu II wojny światowej stworzył koncepcję ram instytucjonalnych dla wynarodowionej Europy, zjednoczonej pod butem Hitlera i Mussoliniego. Przydało się jak znalazł do tworzenia po wojnie podwalin pod ponadnarodowy ustrój.

W Waszyngtonie i w Bonn wszystko wiedziano o nazistowskiej przeszłości Hallsteina. A ci, którzy wiedzieli, zatrzymali to dla siebie. Prawda została ukryta. Nie był zresztą jedynym, którego nazistowska przeszłość została wymazana. Wielu oficjeli III Rzeszy i członków NSDAP było chronionych i promowanych. Przypadek Hallsteina pokazuje, że ten proceder rozprzestrzeniał się także w instytucjach integrującej się Europy i pozwala lepiej zrozumieć europejski pęd do zjednoczenia poprzez wynarodowienie, a nie poprzez współpracę między państwami. Smaczku przydaje fakt, że 13 listopada 2018 r. przed Parlamentem w Strasburgu Angela Merkel złożyła hołd Walterowi Hallsteinowi: *Prawie sześćdziesiąt lat temu przewodniczący KE, Niemiec Walter Hallstein, opisywał zjednoczenie Europy jako niezwykle śmiałe przedsięwzięcie bez precedensu..., które pozwoliło wznieść się ponad lata wojny i dyktatury oraz zapewnić stabilną pokojową przyszłość*. Nie ma wątpliwości, że

przeszłość Hallsteina była dobrze znana p. Merkel, skoro prawda tkwi w niemieckich archiwach federalnych.

Do grona „Ojców założycieli” UE koniecznie musimy dopisać Altiero Spinelli’ego, włoskiego komunistę, który, uwięziony przez Mussoliniego, w 1941 r. napisał (wraz z dwoma kompanami) tzw. Manifest z Ventotene (od nazwy wyspy uwięzienia), opublikowany trzy lata później, który de facto stał się fundamentem systemu realizowanego jako UE. Spinelli był później członkiem KE, a o jego wielkiej roli niech świadczą choćby dwa fakty: jego nazwisko widnieje nad wejściem do głównego budynku Parlamentu Europejskiego oraz ten, że w sierpniu 2016 r., na pokładzie okrętu zacumowanego na wyspie Ventotene, kanclerz Angela Merkel, premier Matteo Renzi oraz prezydent Francois Hollande, oddali Spinelli’emu hołd.

Prof. Jacek Bartyzel (UMK Toruń) zwięźle opisał zasadnicze cele zarysowane w Manifestie: *[G]eneralna tendencja, myśl przewodnia, jest bardzo wyraźna: źródłem wszelkiego zła... jest państwo narodowe i suwerenność państw zbudowanych na jednym, dominującym narodzie. Ma ono zostać zastąpione przez jednolite państwo sfederowane, które będzie posiadało pełnię władzy politycznej, militarnej, ekonomicznej i które będzie arbitralnie decydować o tym, jaki zakres autonomii wewnętrznej będą posiadały państwa narodowe. Program budowy europejskiego superpaństwa podawany jest jako panaceum na wszelkie bolączki, na wojny i konflikty*.

Dr Tymoteusz Zych (Ordo Iuris) uszczegółowił tę charakterystykę: *Od czasu, kiedy Spinelli przygotował projekt Traktatu o Unii Europejskiej, przyjęty w 1984 roku przez Parlament Europejski, którego Spinelli był zresztą prominentnym członkiem, widzimy, że krok po kroku kolejne elementy tego programu są wdrażane. To jednolita waluta czy zastrzeżenie dla Unii wyłącznych kompetencji do tworzenia prawa w określonych dziedzinach. Powstała także koncepcja, że UE może być stroną umów międzynarodowych tak jak państwa (co stanowi atrybut suwerenności...). Oczywiście ten projekt nie został jeszcze w pełni zrealizowany. Jeszcze nie zrealizowano założeń dotyczących wspólnej europejskiej obronności..., ale już w tej chwili są poszerzane kompetencje unijnej straży granicznej. KE zaproponowała niedawno, żeby straż graniczna mogła interweniować z prawem użycia siły na terenie państw członkowskich nawet bez ich zgody. Widzimy więc, że idea Spinelli’ego, idea Europy federalnej, Europy bez narodowych tożsamości, w których upatruje się zło, jest coraz bliższa realizacji*.

Niewiele jest przesłanek, że Unia Europejska odtądnie się od swojego DNA i powstrzyma marsz ku Stanom Zjednoczonym Europy, nie przypadkiem pod egidą Niemiec. A w pakiecie dostaniemy: karzącą rękę poprawności politycznej, rządy cynicznych kłamstw, religię globalnego ocieplenia, eutanazję, aborcję na życzenie do końca ciąży, może nawet dzieciobójstwo, genderomanię, „małżeństwa” homoseksualne z prawem do adopcji dzieci, itp. A w kolejce niecierpliwie czekają jeszcze inne rządy, którym tego współczuję. Nieubłagany walec Historii? Stolica Piotrowa zdaje się, że już dawno „rzuciła ręcznik na ring”. Polacy zaś, nie tylko obywatele, ale i rządzący, z jednej strony akceptują taki stan rzeczy (patrz: gremialne poparcie dla udziału Polski w UE), a z drugiej strony wybierają do władzy ugrupowanie dążące do suwerenności, co w świetle powyższych rozważań jest kwadraturą koła.

koniec

JERZY NAGÓRSKI

Jubileusz

Jubileusz to okrągła rocznica, np. 25, 30, 50 lat czyjejs działalności zawodowej lub publicznej, a także powstania, ułożenia czegoś. Termin ten jest także rozumiany jako uroczystość zorganizowana z tej okazji, a wziął się w naszym języku z łaciny średniowiecznej.

13 listopada 2019 r. (środa) miałem okazję wziąć udział w uroczystości 50-lecia Oddziału Nauczycielskiego Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego (PTTK) w Łodzi. zresztą także z okazji 30-lecia tego Stowarzyszenia (wówczas 10 listopada). Dlaczego o tym piszę? Nie wiem, czy inne grupy zawodowe mogłyby się pochwalić tym, że są pewną jednostką dużej ogólnopolskiej organizacji krajoznawczej. Jest to w pełni zrozumiałe, że właśnie nauczyciele stanowią zorganizowaną grupę osób zainteresowanych turystyką i krajoznawstwem, bo właśnie oni, nauczyciele, są najbardziej świadomi znaczenia działalności w tym kierunku, jako że ma to duży wpływ na postawę obywatelską każdego członka naszej społeczności.

Uroczystość odbyła się w pięknej sali Związku Nauczycielstwa Polskiego (ZNP) w Łodzi przy ulicy Piotrkowskiej 137 na I piętrze. Ta lokalizacja omawianej organizacji jest zrozumiała. Czy kto inny chciałby przegarnąć entuzjastów piękna naszego kraju? Wątpię.

Utworzenie Oddziału nie było łatwe w czasach PRL. Wymagało to wiele zachodu i wielu różnych prawnych zabiegów. Takie to były czasy. Mówił o tym chyba jedyny jeszcze żyjący współtwórca stowarzyszenia pan Antoni Binasiak (pierwszy prezes). O historii organizacji i jej działaczach napisał pięknie pan Jan Szałowski w artykule pt. *Jest taki dom przy Piotrkowskiej* w październikowym numerze (261) miesięcznika „Aspekt Polski”. I była to chyba jedyna, a poza tym bardzo wartościowa informacja o nauczycielach-krajoznawcach, miłośnikach naszego kraju. Wyrażam duże uznanie dla skrzętnej pracy autora artykułu, zresztą z zawodu historyka i znakomitego publicysty. Należy też podziękować za obecność na uroczystości prezesowi łódzkiego PTTK, a także gospodyni Klubu Nauczycielskiego, który pięknie gościł uczest-

ników jubileuszu.

Już w początkach działalności tej organizacji przyjęto za patrona Bronisława Szwalma, niegdyś bardzo znanego działacza społecznego, dyrektora jednej z łódzkich szkół, wybitnego krajoznawcy-teoretyka, a zwłaszcza praktyka w dziele upowszechniania zamiłowania poznawania piękna własnego kraju. W okresie dwudziestolecia międzywojennego oraz także w latach po okupacji niemieckiej Bronisław Szwalma potrafił zorganizować ponad tysiącosobowe wycieczki szkolne pociągami w różne zakątki kraju, czego dzisiaj nie możemy doświadczyć, choć – jak przypuszczam – znaleźliby się nauczyciele chętni do zorganizowania podobnych wojaży. Jest to spowodowane tym, że młodzież woli obecnie korzystać z wycieczek zagranicznych, które wydają się jej bardziej ciekawe, a przede wszystkim w miarę kosztowne (teraz do wielu krajów nawet bez wizy i paszportu). Stanowi to tylko zachętę do planowania przyszłej emigracji, opuszczenia rodzinnego kraju. Zorganizowanie ciekawej wycieczki dla młodzieży wymaga odpowiedniego doświadczenia, aby taki wyjazd dobrze zaplanować i zrealizować, poświęcenia czasu, a co za tym idzie powstaje problem współpracy z formalnymi placówkami edukacyjnymi, które powinny na takie imprezy znaleźć trochę pieniędzy. Przydałoby się tu hasło: wycieczka+ i wówczas nie byłoby przykrych dla obu stron strajków włoskich, a młodzież poznawałaby kraj ojczysty, mając nie tylko opiekę, ale także wyjaśnienia dotyczące poznawanych regionów.

Podziwiałem stronę organizacyjną jubileuszu. Każdy członek organizacji coś od siebie dawał. Widać było, że nikt nie zadawał sobie pytania, często stawianego: *a co ja z tego będę miał?* Niebywałym wydarzeniem było obdarowanie wyróżnionych osób pięknymi albumami. Ktoś o tym musiał pomyśleć i za to należy podziękować. Na koniec uro-



czystości zaproponowano zebranych obejrzeć wystawę fotogramów z wędrówek po Polsce i jej kresach obecnego prezesa 1. Koła Oddziału pana Jana Szałowskiego. Poza tym cała sala była wypełniona fotografiami z dawnych wojaży bliskich i dalekich członków organizacji. Nie zapomniano także o wspianym poczęstunku z wysmienitymi ciastkami i kawą lub herbatą. Ponieważ w pięknie zredagowanym i przesłanym mi zaproszeniu był podany plan spotkania i m.in. możliwość zabrania głosu, zgłosiłem siebie jako chętnego i przekazałem trochę swych myśli oraz życzeń dla Oddziału i jego członków. Przytaczam tę wypowiedź, bo może zawarte w niej myśli będą refleksją dla tych, którzy w uroczystości nie uczestniczyli.

Szanowni Państwo!

W imieniu własnym i rodziny Patrona Oddziału Nauczycielskiego PTTK Bronisława Szwalma (jako zięć) wyrażam podziękowanie za zaproszenie na tę podniosłą i ważną dla środowiska nauczycielskiego uroczystość 50-lecia Oddziału. Również 50 lat mija od śmierci śp. Bronisława Szwalma, znanego w kraju geografą, krajoznawcą i turystą, oddanego całym sercem przez wiele lat swego życia krzewieniu i popularyzacji idei krajoznawstwa i turystyki. Dziękuję także wszystkim współpracownikom Bronisława Szwalma, którzy zechcieli uwzględnić jego osobowość i ideały i wziąć Go za patrona ważnego dla środowiska Oddziału.

Szanowni Państwo! Zastanawiam się nad tym, co Bronisław Szwalma, gdyby się tutaj znalazł, zechciałby życzyć Oddziałowi na dalsze lata działalności w trudnym okresie dominowania wszędzie idei „człowieka sukcesu”. Sądzę, że widziałby ten sukces nie indywidualnie, a społecznie. Gdy poznajemy swój kraj nie tylko poprzez opisy, filmy, TV, ale przez konkretny dotyk jego przyrody, zabytków i ludzi, osiągamy ogromny, choć niewymierny w złotych sukcesach: kochamy naszą ojczyznę coraz żywiej i goręcej, rozumiemy, iż naszym celem jest praca dla niej, a nasz indywidualny sukces ma Jej służyć i całemu narodowi. Zapewne Patron pragnąłby, aby zrozumienie tej sprawy było przekazywane młodzieży przez oddanych pracy społecznej nauczycieli. Wiem, że są rozliczne trudności, ale i kiedyś one były. Zapal może pokonać wszystko.

Życzę, by poszerzały się szeregi członków organizacji, rosło zainteresowanie ideami PTTK, by władze, od których wiele zależy, wspomagały wysiłki działaczy i ułatwiały ich ciężką, ofiarną pracę. Bronisław Szwalma stawiał na młodzież. Miejmy nadzieję, że nasza polska, piękna młodzież nie da się uwieść pozornym wartościom i wejdzie w rytm pracy krajoznawczej w szkołach, później w Oddziale i przeniesie dalej ideały umiłowania piękna swej ojczyzny.

PROF. TADEUSZ GERSTENKORN

Odznaczenie dla prof. Matyi

Prof. Mirosław Matyja, nasz redakcyjny kolega, został uhonorowany Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Świętego Stanisława Biskupa i Męczennika.

23 listopada br. w bazylice archikatedralnej pw. św. Piotra i Pawła w Poznaniu prof. Mirosław Matyja został odznaczony Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Św. Stanisława Biskupa Męczennika za zasługi na polu nauki.

171 Inwestytura Królewskiego Orderu Świętego Stanisława Biskupa i Męczennika miała miejsce w Złotej Kaplicy, w której znajdują się pozostałości po grobowcach pierwszych polskich władców: Mieszka I i Bolesława Chrobrego.

Wręczenie orderu odbyło się po Mszy świętej, odprawianej przez Księdza Prałata Jana Stanisławskiego, Kapelana Orderu.

Prof. Mirosław Matyja jest profesorem Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie w Londynie, jest wieloletnim publicystą miesięcz-

nika „Aspekt Polski”, autorem znakomitych tekstów politologicznych i ekonomicznych.

Order Świętego Stanisława Biskupa i Męczennika ustanowiony został w 1765 r. przez króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Order zajmował drugie miejsce w hierarchii polskich orderów, po Orderze Orła Białego, a przed ustanowionym w 1792 r. Orderem Virtuti Militari. Jego otrzymanie miało być zachętą do dalszej służby publicznej, z perspektywą otrzymania wyższego odznaczenia.

W 1979 r. idea Orderu Świętego Stanisława została reaktywowana, a w 1983 r. Ojciec Święty Jan Paweł II pobłogosławił Order w Złotej Kaplicy w poznańskiej bazylice.

IKA



Santa Maria Maggiore

Wyruszyłam do Rzymu z synem Jackiem w 1981 r. Autobusem, bez planu. Miałam adres hotelu od znajomej mojej mamy, pani Anieli, ale nie był to właściwy trop. Przybyliśmy do Rzymu wieczorem, po trzech dniach w drodze. Było ciemno. Pani Maryna z Rabki podróżowała do swojej siostry Barbary, mieszkającej w Rzymie od wczesnej młodości. Przybyła na przystanek autobusowy wraz ze swoim mężem Wlochtem – Leonardem. Zabrali mnie do samochodu. Pytali, czy mam jakiś adres?

Pani Maryna miała niewyraźną minę – bo zabrali mnie – zupełnie obcą osobę – na szczęście z dzieckiem do swojego domu! Muszę tutaj dodać, że na przystanek autobusowy wyszedł również właściciel pensjonatu, wrę-

czył mi wizytówkę. Tak się rozwiązał problem naszego zamieszkania w Rzymie. Po jednej nocy, którą spędziłam w domu siostry pani Maryny rano wyruszyliśmy do pensjonatu. Pensjonat znajdował się przy zbiegu ulicy

Piazza Vittorio, był tam bazar – targ w środku miasta, do którego schodziłam codziennie kupując przede wszystkim brzoskwinie, które stały się moim pokarmem codziennym. Pensjonat nosił nazwę „Lucania” przy Via Forcalo nr 32 II p., a właścicielem był Dino Berio. Właściciel był miłośnikiem mojej Ojczyzny, ponieważ ożenił się z Polką, z którą miałam dobrą relację. Czasami zapraszała mnie na kolację. Po zapłaceniu mieszkania, zostało mi niewiele środków. Chodziliśmy po Rzymie pieszo. Postanowiłam odżywiać się jedynie owocami. Zrobiłam półświadek sobie taką dietę owocową – miesięczną i czułam się bardzo dobrze!

Legenda mówi, że w połowie IV wieku, pewnej sierpniowej nocy, bogatego patrycjusza Jana nawiedził sen. Ukazała mu się Madonna polecając wybudowanie kościoła w tym miejscu, w którym tej nocy (5 sierpnia) spadnie śnieg. Ponieważ śnieg w sierpniu jest zjawiskiem „cudownym”, patrycjusz pobiegł do papieża Liberiusza prosić o radę. Ze zdumieniem przyjął do wiadomości, że papież nawiedzony został podobnym snem i że właśnie eskwilińskie wzgórze pokryło się tej nocy śniegiem.

Podążyli więc tam obydwaj pobożni mężowie i Liberiusz wykreślił na świeżym śniegu zarys późniejszej bazyliki, przystępując niezwłocznie do prac budowlanych, wspomagany finansowo przez bogatego patrycjusza. W rzeczywistości dopiero sobór w Efezie zatwierdził kult Madonny jako Matki Bożej (431 r.) i w rok później Sykstus III zaczął budować bazylikę Jej imieniu poświęconą.

Santa Maria Maggiore jest jedną z czte-

rech bazylik Rzymu. Po laterańskiej, watykańskiej i św. Pawła za Murami, rozległa budowla długości 86 m o trzech nawach podzielonych rzędami kolumn marmurowych (36) i granitowych (4). Obudowana została późnobarokowymi pałacami. Znad barokowej obudowy wystaje smukła najwyższa w Rzymie romańska dzwonnica z 1377 r. Renesansowy strop bazyliki wyłożono złotem – przypisywany jest znakomitemu artyście Gillianowi Sangallo. Pod tymi złotymi kasetonami kryje się prawdziwy skarb mozaiki z V wieku o wyraźnych cechach sztuki rzymskiej późnego okresu Imperium. Jest to 36 prostokątnych obrazów z historią Abrahama, Izaaka i Jakuba (po lewej) oraz Mojżesza i Jozuego (z prawej). Nagromadzenie kaplic, zakamarków i nagrobków pozwala jedynie na wskazanie ciekawszych obiektów wśród natłoku barokowych rzeźb i malarstwa. Znajdujące się między oknami freski stanowią kontrast, towarzysząc im aż do prezbiterium gdzie w łuku triumfalnym odnajdziemy znów piękno mozaiki z V stulecia opowiadające historie Nowego Testamentu; na szczycie tron zbawiciela, po lewej zwiastowanie, rzeź niewiniątek i mury „bożego miasta”. Po lewej Chrystus w świątyni, ucieczka do Egiptu i Trzej Królowie przed Herodem.

Na placu przed frontem świątyni stoi wysoka kolumna – jedyna zachowana z Bazyliki Maksencjusza, ustawiona tu w 1614 r. i zwieńczona posągami Madonny z Dzieciątkiem. Za kolumną daleka perspektywa via Merulana – biegnącej do Lateranu. Obchodząc Santa Maria Maggiore z lewej strony, znajdziemy się na Piazza dell'Esquilino, aby stąd zaobserwować monumentalne barokowe rozwiązanie absyd bazyliki i okalających je schodów. Z tego placu można objąć wzrokiem tak charakterystyczne dla tej ożywionej handlowej dzielnicy ulice od dzielnicy Forów do dworca Termini.

IZABELA MARIA TRELIŃSKA



Nobel dla Tokarczuk

– Polska, rozdroże Europy, być może nawet jej serce – Olga Tokarczuk odkrywa historię Polski jako kraju będącego ofiarą spustoszenia dokonanego przez wielkie siły, lecz również posiadającego swoją własną historię kolonializmu i antysemityzmu – powiedział niejaki Per Waesterberg z Akademii Szwedzkiej w laudacji na cześć Olgi Tokarczuk, która otrzymała Nagrodę Nobla. – Olga Tokarczuk nie ucieka od niewygodnej prawdy, nawet pod groźbą śmierci – wskazywał Waesterberg, dowodząc niechcący, że Polskę zna tylko z książek Tokarczuk i może jeszcze Kosińskiego.

W dwa lata po przyznaniu Literackiej Nagrody Nobla gitarzyście Bobowi Dylanowi (właściwie: Robert Allen Zimmerman), Akademia Szwedzka uhonorowała Olę Tokarczuk, której przyznano nagrodę za zaległy rok 2018. Z tej okazji, jak widać, organizatorzy postanowili obrazić Polaków, w końcu wielu to robi bezkarnie, to dlaczego ma braknąć w tym gronie członków Akademii Szwedzkiej? Nie zaprotestował nikt, ani przedstawiciel dyplomatyczny w Sztokholmie, ani nikt z polskich władz, ani sama Olga Tokarczuk.

Ale, co się dziwić, kiedy sama Tokarczuk buduje swoją tożsamość na obrażaniu Polski. – Trzeba będzie stanąć z własną historią twarzą w twarz i spróbować napisać ją trochę od nowa, nie ukrywając tych wszystkich strasznych rzeczy, które robiliśmy, jako kolonizato-

rzy, większość narodowa, która tłumila mniejszość, jako właściciele niewolników czy mordery Żydów – mówiła pisarka w programie „Minęła dwudziesta” w TVP Info w 2015 roku. Rzeczywiście, beczelność zasługująca na jakąś nagrodę, tym bardziej, że Tokarczuk przekonywała, że polska historia została wymyślona jako nieprawdziwy mit.

– Wymyśliłiśmy sobie historię Polski, jako kraju niezwykle tolerancyjnego, otwartego, jako kraju, który nie splamił się niczym złym w stosunku do swoich mniejszości – podkreślała i przekonywała, że w czasie wojny i po wojnie Polacy dokonywali pogromów Żydów. – Można patrzeć na historię z punktu widzenia kobiety, chłopki, Żyda, ducha albo zwierzęcia – dodawała.

Trudno powiedzieć, w jakim kierunku roz-

winie się osobowość pisarki, kiedy zacznie wydawać miliony towarzyszące Nagrodzie. A może być różnie, bo i bez tego mówiła niedawno: – Myślę, że ludzie będą się kiedyś wstydzić, że ich przodkowie jedli mięso. (...) Wyobrażam sobie takie społeczeństwo, gdzie mięso jest obłożone akcyzą – dodała i dowiodła, że zasłużyła na jakąś nagrodę, bo zna się na wszystkim: – Dla mnie ważna jest sprawa kobiet. Żadne społeczeństwo, które represjonuje kobiety, nie pozwalając na wolny wybór, jest społeczeństwem chorym... Leży mi na sercu kwestia energii odnawialnych, nie wyobrażam sobie całej polityki opartej na węglu – podkreśliła.

Literacka Nagroda Nobla straciła wiele w czasach powojennych, szczególnie w XXI w. Okazuje się, że wartość literacka schodzi na dalszy plan; wystarczy wygadywać głupstwa obowiązujące w lewackim świecie. Co kogo obchodzi, czy Tokarczuk lubi węgiel, czy też nie? Czy pisarz zajada ze smakiem mięso, czy też pozbawiony naturalnego białka popada w obłąd.

Zaraz po odebraniu nagrody, Olga Tokarczuk wspominała dla Wirtualnej Polski wrażenia ze Szwecji: – Spotkanie z dziećmi było cudowne, one są tak kolorowe. Pomyślałam, jakie bogactwo Szwecja sobie przyswoiła



wraz z imigrantami, jaki potencjał wrażliwości i puli genetycznej. Zawsze w takich momentach jest mi wstyd za ten straszny 2014 rok, kiedy Polska nie przyjęła emigrantów. Nigdy nie potrafię tego zrozumieć – powiedziała Olga Tokarczuk, która jako Ukrainka z polskim paszportem powinna bardziej uważać na słowa, bo skoro na Ukrainę nie dotarła jeszcze wiedza o historii Polski, to nie może się pani czuć usprawiedliwiona. Proszę czytać polskie książki, a nie tylko pisać po polsku.

PAWEŁ JASZCZAK

Lipiński rodakom przypominany

W telewizji (m.in. w TVP Historia) można było obejrzeć interesujący, prawie godzinny film dokumentalny pt. „Skazany na zapomnienie. Wacław Lipiński”, opowiadający o łódzianinie – żołnierzu, publicyście, wybitnym działaczu uczestniczącym we wszystkich etapach polskiej walki o niepodległość od roku 1914 do 1949, czyli do momentu zamordowania go przez komunistów. Film, wyprodukowany przez łódzki ośrodek TVP, powstał według scenariusza i w reżyserii Marzeny Kumosińskiej. Autorem zdjęć jest Yori Fabian.

Urodzony w Łodzi w roku 1896 Wacław Lipiński był uczniem Gimnazjum Towarzystwa „Uczelnia” i wówczas współtworzył pierwsze tajne drużyny skautowe. Wstąpił potem do powstających właśnie Legionów Polskich, by przejść cały szlak bojowy I Brygady. Brał m.in. udział w najkrwawszej z legionowych bitew – pod Kostiuchnowką. W listopadzie 1918 r. trafił do Lwowa, stawiającego siłami Orląt Lwowskich czoła wojskom ukraińskim. Wiosną 1919 r. uczestniczył w wyprawie wileńskiej, tym razem już w ramach wojny polsko-bolszewickiej. Odznaczony Virtuti Militari, karierę liniową zakończył pod Dyneburgiem. W wolnej Polsce awansował do stopnia podpułkownika, przede wszystkim jednak poświęcał się pracy naukowej (był absolwentem Uniwersytetu Jagiellońskiego i Lwowskiego). Jako historyk zmagani o niepodległość i granice II Rzeczypospolitej wydał szereg prac. W 1936 r. objął stanowisko dyrektora Instytutu Józefa Piłsudskiego. We wrześniu 1939 r. został szefem propagandy przy dowództwie Obrony Warszawy. Jego przemówienia radiowe, podobnie jak wystąpienia Stefana Starzyńskiego, z którym współpracował, znał zapewne każdy warszawiak.

Po kapitulacji stolicy przedostał się na Węgry, gdzie zgłosił swój akces do Wojska Polskiego we Francji. Jako piłsudczyk nie zyskał jednak uznania i w 1942 r. powrócił do kraju i włączył się w działalność podziemia, akcentując swoje obawy przed wschodnim przeciwnikiem – Rosją bolszewicką. W lutym 1944 r. aresztowało go Gestapo, udało się go jednak, jako znanego Niemcom antykomunistę, wydostać. Po wojnie działał w podziemiu niepodległościowym – był autorem pierwszej wersji Memoriału do Rady Bezpieczeństwa ONZ, w którym wykazał całkowite uzależnienie Polski od ZSRR. W czerwcu 1946 r. wzywał do bojkotu referendum, w styczniu 1947 r. opowiadał się za bojkotem wyborów do sejmu. Komuniści aresztowali go i w trakcie pokazowego procesu sądzili wraz z III Zarządem Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość. Wyrokiem z grudnia 1947 r. został skazany na karę śmierci. Wskutek licznych próśb o ułaskawienie wyrok ten zamieniono na dożywocie. Jednak 4 kwietnia 1949 r. Wacława Lipińskiego zamordowano w więzieniu we Wronkach. Miał być od tej chwili całkowicie zapomniany, wszystkie jego publikacje znalazły się na indeksie.



Wacław Lipiński

Autorka filmu, Marzena Kumosińska, powiedziała: – *Ten życiorys to prawie gotowy scenariusz. Odzyskiwanie pamięci o Wacławie Lipińskim jest zresztą odzyskiwaniem pamięci o tragizmie całego pokolenia, które wywalczyło wolną Polskę, przez krótki czas mogło tej wolnej Polski zakosztować, a następnie musiało patrzeć, jak wolność ponownie jest odbierana. Po aresztowaniu Lipiński wierzył, że najdalej po dwóch latach wyjdzie z więzienia, robił plany na przyszłość i, jak tyle razy wcześniej, nie poddawał się. Tym samym wciąż pozostawał dla komunistów niebezpieczny i dlatego uznali oni, że musi zginąć. Film dedykuję śp. Lucjanowi Muszyńskiemu, gdyż jego opowieści i pasja do poszukiwań nieodkrytych kart rodzimej historii przez lata mnie kształtowały.*

Skazanego na zapomnienie ogląda się z dużym zainteresowaniem. Udały się fragmenty

inscenizowane, np. poświęcone działaniom skautingowym czy obronie Lwowa, zostały te dobrze wyreżyserowane sekwencje umiejętnie połączone z wypowiedziami historyków i członków rodziny Lipińskiego, a także z oryginalnymi dokumentami dźwiękowymi i historyczną ikonografią – materiałami FINA (wyprawa wileńska), nagraniami wystąpień radiowych Lipińskiego, zdjęciami Juliana Bryana z września 1939 r. itd.

Warto zaznaczyć, że Marzena Kumosińska, będąca pracowniczką Instytutu Pamięci Narodowej w Łodzi, zadebiutowała w roli reżysera i scenarzystki. Miło, że z powodzeniem. Oby jej film przyczynił się m.in. do nadania imienia bohaterskiego łódzianina ulicom w rodzinnym mieście oraz stolicy.

JANUSZ JANYST

Kamienice i władza się sypią

„Kamienice się sypią, władze Łodzi chcą specustawy” – taki był tytuł artykułu w jednej z łódzkich gazet 21 listopada. I nic tego procesu nie powstrzyma, bo większość starych budynków była budowana tandetnie, w okresie gwałtownego rozwoju przemysłu, gdy kapitaliści szukali najtańszych rozwiązań. Powstrzymać to mogą jedynie gruntowne remonty lub rozbiórki i zastąpienie walących się kamienic nowymi budynkami. Ale na to potrzeba ogromnych środków. Skąd je wziąć? Przypatrzmy się w wielkim skrócie temu, co działo się w Łodzi w ostatnim trzdziestoleciu.

Upadł przemysł włókienniczy. Co prawda był przestarzały, ale można go było zmodernizować i utrzymać. Wiele nowoczesnych zakładów zostało sprzedanych za bezcen (Leszek Balcerowicz). A światli ekonomiści wiedzą, że takie duże miasto nie może należycie egzystować bez zaplecza przemysłowego.

Jednocześnie otwarto ramiona dla zagranicznych supermarketów, które nie płaciły podatków i wywoziły zyski zagranicę. Zaczęły również powstawać nowoczesne biurowce. Poza nowoczesnym wyglądem dla Łodzi nie przynosiły zbyt wiele korzyści – pracowały w nich firmy zagraniczne.

Po wejściu do Unii sytuacja jakby się trochę poprawiła. Zaczęły napływać fundusze, ale *per saldo* nie był to zbyt wielki interes dla Polski. Bo gdyby uwzględnić choćby wielomiliardowy przekręt na VAT, to nie wiem, czy znów nas nie oszukano.

Ale najważniejsze, w jaki sposób te unijne i inne dostępne fundusze wykorzystywano.

Nie mam pełnego rozeznania w tej materii i opieram się głównie na tym, co widzę na własne oczy poruszając się głównie po śródmieściu Łodzi. Zaczniemy od trasy W-Z. Rozmawiałem z taksówkarzami na ten temat – jeździ się im gorzej. Po co budowano te tunele zwężające jezdnie? Wiaty nad przystankami tramwajowymi Mickiewicza-Piotrkowska są pożyteczne, ale czy musiały być takie monumentalne?

Dworzec Łódź-Fabryczna to już kompletny bezsens. Chorobliwy przerost ambicji mieli albo zleceniodawcy albo projektanci. Albo wszyscy razem. Dla mnie bezsens jest tak oczywisty, że aż nie chce się podawać szczegółowych argumentów. Do tego otoczenie – komu potrzebne te rozjazdy. A wystarczyło wyremontować stary dworzec – tak doskonale położony w śródmieściu. I nie pomoże tu nowy tunel pod Łodzią, raczej zwiększy liczbę walących się kamienic.

„Ale najbardziej wkurza mnie Zośka”



Skrzyżowanie Marszałków: Jaki złośliwy gnom kazał władzom łódzkim rozkopać to wszystko?

(W. Łysiak) – dla mnie jest to „przebudowa” trasy Rydza-Śmigłego-Al. Piłsudskiego-Przybyszewskiego. Jeżdżę tą trasą od kilkudziesięciu lat – autobusem, tramwajem i samochodem. Była to trasa zupełnie przyzwoita, dobrze utrzymana, dwujezdniowa, szeroka, z dwoma torami tramwajowymi. Jaki podziemny złośliwy gnom kazał władzom łódzkim kilka lat temu rozkopać to wszystko, zdemolować i rozpocząć coś, czego słowami nie da się opisać? To trzeba zobaczyć. Armagedon! Na jednej, zwężonej, jezdni w obu kierunkach przejazd autobusem trwa pół godziny. A ekologia!?

To jedynie kilka przykładów – ze Śród-

mieścia i mojej trasy. Sądzę, że w pozostałych dzielnicach nie jest lepiej.

A kamienice się sypią i władze miasta nie mają gdzie przeprowadzać lokatorów tych walących się budynków. Prawdopodobnie bez pomocy państwa nie da się opanować katastrofy. Jak trwoga to do PiS-u!

Ale wpierv trzeba rozliczyć władze Łodzi – dlaczego dopuściły się takiej sytuacji, dlaczego roztrwoniły ogromne pieniądze na bezsensowne budowy. I przykładowo ukarać winnych.

WACŁAW LESZEK KOBIELA

Pamiętajmy o rodakach na Wschodzie

W drugą niedzielę Adwentu tradycyjnie już wspieramy Kościół na Wschodzie. W związku z tym Ks. Bp Antoni Pacyfik Dydyca, Przewodniczący Zespołu Pomocy Kościołowi na Wschodzie przy Konferencji Episkopatu Polski zwrócił się z prośbą „o zainteresowanie naszymi Rodakami”.

Bp Dydyca podkreślił, że Dzień Modlitwy i Pomocy Materialnej Kościołowi na Wschodzie przypada w tym roku w uroczystość Niepokalanego Poczęcia NMP, a zarazem początków Unii Europejskiej. Zaapelował, aby w tym duchu solidarności i pomocy przeżywać ten Dzień.

Kościół na Wschodzie ma już swoje struktury, ale wciąż potrzebuje naszej pomocy i wsparcia, zarówno duchowego, jak materialnego – powiedział Ks. Abp Stanisław Gądecki, Przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski, w przesłaniu skierowanym z tej okazji. Przewodniczący Episkopatu przypomniał o Polakach, którzy pozostają poza granicami swojej ojczyzny. – *Pamiętajmy też, że dużą część wiernych Kościoła na Wschodzie stanowią Polacy, bądź osoby o polskich korzeniach. Znaleźli się oni poza granicami naszej ojczyzny, nie za sprawą własnego wyboru. Cierpieli prześladowania i biedę, ale nie wyparli się swojej wiary i narodowości* – zaznaczył Przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski.

Podczas konferencji prasowej przed Dniem Modlitwy i Pomocy Materialnej Kościołowi na Wschodzie zaprezentowano różnorodne działania podejmowane w intencji Kościoła na Wschodzie.

Ks. Leszek Kryża TChr, Dyrektor Biura Zespołu Pomocy Kościołowi na Wschodzie, opowiedział o „zabawkach z historią” –

wyjątkowych prezentach, jakie przygotowało dla polskich dzieci ze Wschodu. To zabawki o charakterze historycznym, m.in. „Kasztanka” Piłsudskiego czy niedźwiedzie „Baśka Murmańska”, dzięki którym dzieci będą mogły dowiedzieć się wiele o historii Polski. „Są to cegiełki, a ofiara z tychże zabawek będzie przeznaczona na funkcjonowanie domów dziecka i świetlic za wschodnią granicą” – podkreślił ks. Kryża.

S. Renata Zielińska OP, autorka książki „Polscy duchowni na Wschodzie”, opowiedziała o kapłanach, osobach zakonnych i świeckich z b. republik na Wschodzie, z którymi przeprowadzała wywiady. Anna Czytowska, dziennikarka, opowiedziała o Wolontariacie Syberyjskim, w czasie którego w Wierszynie – polskiej wsi na Syberii – zajmowała się dziećmi przychodzącymi do parafii. Zaznaczyła, że wolontariat uczy pokory.

S. Hieronima Dorota Kondracka, albertynka posługująca w Przytulisku dla kobiet we Lwowie, opowiedziała o pracy na rzecz potrzebujących kobiet. Dziennie siostry wydają ok. 100 posiłków, a także przemierzają ulice Lwowa poszukując osób znajdujących się w potrzebie.

Wiktoria Charczenko, Prezes Fundacji Pomoc Polakom z Donbasu, opowiedziała o Fundacji, która od swojego powstania współpracuje z Zespołem Pomocy Kościołowi na Wschodzie. Zrelacjonowała drugą



edycję projektu „Łączy nas Polska” dla rodzin z Donbasu. – *Każdy grosz idzie na ludzi i dla ludzi, nic się nie marnuje, każdy grosz idzie do potrzebujących* – podkreśliła.

Do XX Dnia Modlitwy i Pomocy Materialnej Kościołowi na Wschodzie nawiązał też Papież Franciszek podczas śródowej audyencji generalnej w pozdrowieniach skierowanych do Polaków. „Polecam wam to ważne dzieło i dziękuję wszystkim Polakom, którzy angażują się na rzecz sąsiadujących Kościołów, w duchu braterskiej miłości” – powiedział Franciszek.

Aktualnie na Wschodzie posługuje ponad 200 kapłanów diecezjalnych, ok. 300 kapła-

nów zakonnych, 320 siostr zakonnych i 20 braci zakonnych z Polski oraz osoby świeckie. Do biura Zespołu napływają prośby z diecezji, parafii oraz ze zgromadzeń zakonnych pracujących na Wschodzie: z Litwy, Łotwy i Estonii, Białorusi, Ukrainy, Rosji, Kazachstanu i z krajów Azji Środkowej.

Dzięki zebranych ofiarom udało się zorganizować letni wypoczynek dla dzieci i młodzieży, funkcjonowanie świetlic parafialnych, przedszkoli, domów dla osób starszych i domów samotnej matki, prace remontowo-budowlane oraz działalność charytatywną.

TERESA SZEMERLUK

Dobroczyńcy „Aspektu Polskiego”

Pani Barbara z Łodzi • Pani Stefania z Łodzi • Pan Marian z Bełchatowa • Pani Teresa z Łodzi • Pani Maria z Warszawy • Pan Marek z Łodzi • Pan Jerzy ze Zgierza • Pani Maria z Opola • Pani Monika z Łodzi • Pani Barbara z Łodzi • Pan Augustyn z Gołkowic • Pan Zbigniew z Łodzi • Pan Jan z Łodzi • Pani Mirosława z Pabianic • Pani Anna z Łodzi.

BÓG ZAPŁAĆ!

➤Zrób kserokopię poniższego dowodu wpłaty ➤wpisz kwotę ➤podaj swoje dane ➤wpać na pocztę lub w banku ➤albo zrób przelew przez internet

KATOLICKI KLUB IM. ŚW. WOJCIECHA
 nazwa odbiorcy od:
ŁÓDŹ, ul. NARUTOWICZA 120 p. 4
 nr rachunku odbiorcy: **12 203 000 45 111 000 00 03 14 49 20**
 wpłata PLN
 nr rachunku zlecającego (jeżeli jest przelew) / kwota słownie (jeżeli gotówką):
 nazwa zlecającego:
 nazwa zlecającego od:
DAROWIZNA - DLA „ASPEKTU POLSKIEGO”
 tytułem od:
 Oplata
 pieczęć, data i podpis(y) zlecającego

KATOLICKI KLUB IM. ŚW. WOJCIECHA
 nazwa odbiorcy od:
ŁÓDŹ, ul. NARUTOWICZA 120 p. 4
 nr rachunku odbiorcy: **12 203 000 45 111 000 00 03 14 49 20**
 wpłata PLN
 nr rachunku zlecającego (jeżeli jest przelew) / kwota słownie (jeżeli gotówką):
 nazwa zlecającego:
 nazwa zlecającego od:
DAROWIZNA - DLA „ASPEKTU POLSKIEGO”
 tytułem od:
 Oplata
 pieczęć, data i podpis(y) zlecającego